Stron 8 | OSTATNIA KSIĄŻKA BERNANOSA | Cena 1 sh

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

Rok IV. | Londyn, niedziela 18 czerwca 1950 | Nr. 25 (156)

WĘDROWCY

Wiele zaszło zmian od r. 1936, gdy odbywała się pierwsza polska pielgrzymka młodzieży akademickiej na Jasną Górę. Wtedy była ta manifestacja czymś, co się nie mieściło wśród przyjętych pojęć i zapewne dla tego wolano ją zaliczyć raczej do... manifestacyj politycznych, w bardzo wąskim znaczeniu polityki.

Bo pielgrzymki odbywał wówczas polski inteligent katolik tylko prywatnie, dla wypełnienia złożonego ślubu; czasem czynił to z rodziną, ale bardzo rzadko zbiorowo i społecznie. Pamiętam opowiadanie jednego z księży, który prowadził polską grupę inteligencką do Lourdes, że z wszystkich narodowości, które tam spotkał, jedni Polacy nie umieli zbiorowo śpiewać i nawet „Po górach, dolinach"... urywało się po pierwszej zwrotce.

Rosnące w Polsce ruch sodalicyjny, Akcji Katolickiej, budzące się ruchy liturgiczny i rekolekcyjny wyrabiały poczucie wspólnoty przeżyć religijnych, a liczne zjazdy-pielgrzymki, wśród nich przede wszystkim akademicka pielgrzymka w r. 1936 utorowały drogę inteligentom katolickim do wielu sanktuariów maryjnych w naszym kraju. Ale jeszcze nie zdobyliśmy się na to, by jak Francuzi stworzyć ten wielki ruch wędrowników tułaczów i włóczęgów bożych (routiers) na wszystkich drogach Polski i na tylu wspaniałych szlakach jej sanktuariów, wypełniając wędrówki modlitwą i myślą katolicką, radością i pokojem.

Przeżycia i doświadczenia wojenne związały się dla wielu z wędrówkami i przekonały naocznie, że na wszystkich, nawet najgorszych, drogach Bóg czeka na tych, którzy Go szukają. Wymieszani tak dokładnie, spostrzegliśmy, że tam gdzie warunki życia zacierają wszelkie różnice, pozostaje zawsze nietknięty autorytet ludzi umiejących się modlić i pociągać innych do społecznego hołdu dla Boga. Bardzo wielu miało sposobność odwiedzić najsławniejsze cele pielgrzymek chrześcijańskich! Ziemię Świętą i Wieczne Miasto i zobaczyć jakie przybiera rozmiary ruch pielgrzymi w innych krajach katolickich.

Przełomowy charakter czasów obecnych dokonał reszty i dziś zapewne maleją szeregi tych katolików, których pielgrzymki rażą, lub którzy uważają je za manifestację polityczną, chyba tylko za przejaw tej polityki, którą Pius XI określał jako dążenie do dobra powszechnego przez pokój w sercach ludzkich, przez pokój społeczny w narodach i międzynarodowy. Tak też wszyscy dziś patrzymy na pielgrzymkę naszej młodzieży studiującej do Walsingham i powtórzenie przez nią ślubowań jasnogórskich w tym najsławniejszym ongiś przybytku Marii na Wyspie.

Sprawozdanie z pielgrzymki przyniósł przedostatni numer „Gazety Niedzielnej". W ŻYCIU dajemy kazanie, wygłoszone przez kapelana akademickiego X T. Kirschke w czasie uroczystej Mszy św., odprawionej przez X. inf. B. Michalskiego oraz przemówienie p. Ludwika Angerera.

J. Cz.

X. TADEUSZ KIRSCHKE

ŚWIAT JUTRA BĘDZIE TAKI, JAKIM GO UCZYNICIE

KAZANIE WYGŁOSZONE W DNIU ODNOWIENIA ŚLUBOWAŃ JASNOGÓRSKICH W WALSINGHAM W ŚWIĘTO ZESŁANIA DUCHA ŚWIĘTEGO (28.5.1950)

„Powstaje Bóg: pierzchają nieprzyjaciele Jego, uciekają przed Nim ci, co Go nienawidzą." (Introit Mszy Zielonych Świąt)

KRYZYS wstrząsający światem, przerasta nieporównanie przyczyny, jakie go wywołały.... Ruiny są nieszczęściem. Są również symbolem. Coś umarło na tej ziemi, coś co już nie wskrześnie. Dopiero w tej perspektywie wojna nabiera właściwego znaczenia: nie jest przerwą między dwoma aktami dramatu, jeno epilogiem. Oznacza koniec pewnego świata.

Ale tym samym otwierająca się era nabiera znaczenia prologu. Okres przesilenia rozpoczyna dramat rodzącego się świata..... Wszyscy zgodnie określają naszą epokę, jako wiek przejściowy. Cierpienia nękające ziemię, niebezpieczeństwa zagrażające jej jutru, wstrząsające nią wielkie prądy są nietyle skutkiem katastrofy, ile ‚oznaką rokującą bliski poród'. *(Kard. Suhard).*

POWSTAJE NOWA CYWILIZACJA

Żyjemy w czasach nieprawdopodobnie wielkich. Powstaje nowa cywilizacja; — rodzi się nowy świat. W naszych oczach odbywa się niepowstrzymany, konieczny, od nas niezależny proces, decydujący o następnym tysiącleciu. *O ducha* tego rodzącego się nowego świata chodzi — ku niemu wyciągają się ręce — o niego rozgrywa się już walka. Biada nam katolikom, jeżeli ten proces będzie odbywał się bez nas, jeżeli zapatrzeni w swoje własne sprawy najbardziej osobiste, prywatne, małe przeoczymy najważniejszą.

Czterdzieści lat temu Péguy, w drodze powrotnej do katolicyzmu, wołał: ‚O, gdyby katolicy wiedzieli! Oni jedyni mogą odpowiedzieć na potrzeby świata, oni mogliby stanąć na czele ziemskich dziejów, nic nie potrafiłoby się im przeciwstawić. Niestety, są oni do tego zbyt ograniczeni.'

Musimy dorosnąć do ważności chwili. Spełnić zadanie, jakie na nas ciąży.

ISTOTA ZAGADNIENIA

Ze światem sprawa ma się tak: Pan Bóg stworzył świat dla człowieka, a człowieka w nim w stanie łaski. Przez łaskę wiązał w sobie świat nadprzyrodzony z przyrodzonym, czas z wiecznością, świat z Bogiem. To wiązanie było podstawą i gwarantem harmonii, doskonałości i porządku w świecie. Gdy ono przez grzech pierworodny pękło, nastąpił dramat. Oderwany od Boga i wieczności świat popłynął wąskim korytem czasu, kierując się już tylko ludzkim prawem, zatracając swój sens. Z tego oderwania się od Boga powstało całe zamieszanie w świecie. Prawo Boże jedynie obejmujące wszystko i wszystkim kierujące powszechnie, zostało zastąpione prawem ludzkim, innym pod każdą szerokością geograficzną nieledwie, innym w każdej epoce, w każdym ustroju. I tak miało się ‚ku końcowi ginącemu światu'. Ratunek przynieść mogło nowe powiązanie doczesności z wiecznością, przyrodzoności z nadprzyrodzonością, świata z Bogiem.

Dokonał tego Chrystus Pan swoim Wcieleniem i Odkupieniem. Dzięki temu spłynęła łaska w człowieka i w świat. Utrzymanie tego wiązania, tego kontraktu od nas zależy, od ludzi. A to w ten sposób: od przyjścia Chrystusa Pana stał się On Pośrednikiem i Wiązaniem między Bogiem a ludźmi. Odchodząc ze świata, pozostał z nami wcieliwszy się społecznie w Kościół, który jest Chrystusem żyjącym i działającym przez nas. Kościół od swoich początków stał się duszą świata. Każdorazowy rozdział świata od Kościoła grozi światu i ludzkości kataklizmem, wstrząsem, konaniem, śmiercią wreszcie. Pamiętajmy: Chrystus wiąże świat z Bogiem przez nas.

Obecnie przeżywamy okres rozdzielania. Wina to nasza, nie czyja inna. Po rodzącą się nową cywilizację wyciągają ręce ci, którzy ze swej myśli, ze swego systemu, ze swego działania wykreślili Boga. Chcąc nadać nowemu światu swoje piętno. — Jeżeli nowa cywilizacja nie ma być zgubą ludzkości musi zostać ochrzczoną i nierozerwalnie związaną z Chrystusem. Dzieło Odkupienia ma ją ogarnąć, przeniknąć, wchłonąć.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ

I to jest nasza sprawa, nasze zadanie. Odpowiedzialność: W świetle tych uwag musimy sobie uświadomić wstrząsającą odpowiedzialność, która na nas ciąży, na wszystkich katolikach, *na młodzieży w szczególności*, na każdym z osobna. W pierwszym rzędzie jednak *na młodzieży*. I tej odpowiedzialności nic wam nie odejmie. Na nikogo nie da się jej zrzucić. Nowy świat *zrodzi się jutro*, kiedy dzisiejsza młodzież weźmie na dojrzałe już barki rządy i przewodnictwo dziejów. To też świat będzie jutro takim jakim wy go uczynicie, a uczynicie go takim, jakimi jesteście dzisiaj. I nie zrzucajcie winy na starszych, bo oni w pełni odpowiedzialni są za wczoraj i dziś, ale pełna odpowiedzialność za przyszłość leży na was, *na każdym z was*. Podkreślam mocno i wyraźnie: *na każdej i na każdym z was*.

Każdy bowiem ma swoje własne, wyłączne miejsce w Kościele, swoją własną jedyną misję do spełnienia. Jest niezastąpiony. Jeżeli tej misji nie spełni, nikt inny nie potrafi tego odrobić. Powiedziałem przed chwilą, że Chrystus w Kościele, to Chrystus żyjący w nas i działający przez nas. Chrystus może i chce przez każdego z nas zdziałać niepojęte, przeogromne rzeczy dla świata i ludzkości, a każdy z nas jest powołany do spełnienia sobie jedynie właściwych spraw. Jeżeli nie odpowiadamy powołaniu, wyrządzamy światu i duszom niepowetowane szkody.

Widzimy więc, że Pan Bóg stworzył potrzebnie, ba koniecznie każdego, najbardziej szarego człowieka. W świetle tych prawd nadprzyrodzonych przerastamy niepojęcie ramy naszej codziennej małości.

PRZEGLĄD

Stajecie przed ogromnym zadaniem i dlatego trzeba sobie zdać sprawę ze stanu sił jakimi do tego celu dysponujecie.

Dzisiejsza młodzież dzieli się ogólnie na dwie bardzo nierówne grupy.

Jedni, a tych jest przygniatająca większość, to żyjący tylko sobie. Zajęci własnymi sprawami, nie widzą nic poza tym. Egoizm całkowity. Na żadną sprawę nie mają czasu, chociaż marnują go niesłychanie wiele na swoje płytkie bezmyślne zachcianki, na żaden cel nie mają pensa, chociaż nie trudno im wydać wiele pieniędzy na głupiutkie rozrywki. Dla tego celu też możliwie najłatwiejszym sposobem zdobywają pieniądz. Cechuje ich brak poczucia odpowiedzialności: nie chcą zrozumieć jakie chwile przeżywają, w jakich warunkach się znajdują w porównaniu z innymi, — że taka sytuacja nakłada większe i szersze obowiązki.

Wreszcie są *oni zatruci „jadem analizy"*: krytyką starszych i przeszłości, apodyktyczną i bezwzględną usiłują usprawiedliwić swoją bezczynność ideową i odwrócić uwagę od obowiązków wobec przyszłości.

W sumie małoduszne machnięcie ręką na wszystko, co się w świecie dzieje.

Druga grupa obejmująca może tylko 10 procent, to młodzież żyjąca ideałem, wielkim ideałem bożym. Zmaga się najczęściej samotnie i mozolnie. Idąc w świat musi być świadoma swoich trudności. Musi wiedzieć, że trzeba jej płynąć pod prąd, że na drodze na której stanęli „jeden człowiek zastępuje tysiące" i urasta do niewspółmiernej sobie wielkości.

Dobrze się stało, żeśmy się zebrali w Dzień Zesłania Ducha św., Który jest świadkiem, jak garstka najbardziej nic nie znaczących ludzi uświadomiła sobie swoją odpowiedzialność dzięki Jego światłu i ruszyła odważnie w świat.

I wam nie wolno się zniechęcać ani wielkością zadania, ani waszą słabością liczebną, bo nie wolno przespać wielkich przemian, jakie dokonywują się w świecie.

Ślubowanie akademickie zrodzone w Polsce z przeczucia tych wielkich przemian są i będą świadomym wprzągnięciem się młodzieży w trud ochrzczenia i uchrystusowienie świata. Nie może się ono jednak skończyć na powtórzeniu formuły sprzed lat przez nowe pokolenie studenckie.

Bo przecież: „przyrzekamy i ślubujemy

„...że zawsze i wszędzie stać będziemy przy świętej Wierze Kościoła Katolickiego w synowskiej uległości dla Stolicy Apostolskiej; ...że Wiary naszej bronić będziemy i według niej rządzić się będziemy w życiu naszym osobistym, rodzinnym, społecznym, narodowym i państwowym.

„...że z wszelką usilnością szerzyć będziemy cześć i nabożeństwo do Najśw. Marii Panny."

Chodzi o wielkie rzeczy i dlatego nie może być mowy o lekkomyślności. Chodzi o Matkę Bożą. To obowiązuje.

SPEŁNIENIE ZADANIA

Warunkiem pierwszym spełnienia tego zadania to odrodzenie samych katolików. „ Z wszystkich wymagań chwili obecnej najpilniejszym jest odnowienie samych katolików" *(Kard. Gerlier)*.

Dalej musimy wyjść z przeciętności t. zn. odtąd *przeciętne nasze obowiązki spełniać na codzień nieprzeciętnie*.

Wreszcie, aby podołać zadaniu i osiągnąć wynik trwały i pewny, trzeba zdecydować się na kształtowanie się przez ducha Kościoła, którym jest Duch św. Bóg bowiem chce nas całkowicie odnowionych, a dokonać tego może tylko Kościół. Do tego jednak nie wystarczy sama pobożność. Do uformowania wykształconego katolika potrzebna jest wiedza (Maritain) i dlatego jednym z pierwszych praktycznych wniosków dzisiejszego ślubowania musi być formowanie katolickich grup wiedzy religijnej przy wydziałach.

Ślubowanie składamy wreszcie Matce Najśw. obierając Ją za Patronkę. Mówiłem na początku o powiązaniu świata z Bogiem. Otóż każdy człowiek, każda społeczność, każdy naród ma swoją drogę tego wiązania. Od zarania naszych dziejów szczególnie polska droga wiodła przez Marię do Boga. Postępując więc nią, idziemy nieomylnym

LUDWIK ANGERER

NASZE ZOBOWIĄZANIE

PRZEMÓWIENIE LUDWIKA ANGERERA, PREZESA ZRZESZENIA STUDENTÓW POLSKICH ZAGRANICĄ PO ODNOWIENIU ŚLUBOWAŃ JASNOGÓRSKICH W WALSINGHAM W DNIU 28 MAJA 1950 R.

DZIEŃ 24 maj 1936 roku — szczególnie uroczyście przygotowywany był na Jasnej Górze. W tym dniu bowiem, zjechać się miała do Częstochowy młodzież akademicka.

Uroczyście i z pobożnością przygotowywała się ona do tego dnia — wielkiego w jej życiu osobistym i społecznym. Sposobiły się wszystkie polskie Uczelnie we Lwowie, Wilnie, Krakowie, Poznaniu, Lublinie, Gdańsku i Warszawie.

Wczesnym rankiem pamiętnego dnia, zjeżdżać się zaczęły pociągi z pielgrzymami z całej Polski. W powadze i skupieniu gromadziły się w karnych szeregach pod murami obronnymi klasztoru. Młodzieży zaś akademickiej towarzyszyła 200-tysięczna rzesza pielgrzymów z całej Polski, świadcząc wymownie, że Kraj cały łączy się z nią w tym dniu.

Niezwykły to również dzień i dla Jasnej Góry. Za zgodą Władz Duchownych — Cudowny Obraz — opuścić miał ramy „Ołtarza - Tronu“ i wyjść naprzeciw pielgrzymom. Z wałów obronnych twierdzy, przyjąć miał hołd i ślubowanie. 20-tysięczna rzesza studentów, otoczona rozmodlonym tłumem, ze śpiewem pobożnym oczekiwała pojawienia się na murach Cudownego Obrazu. I oto na wałach pojawia się czoło procesji. Na przodzie — skąpane w blaskach słonecznych — sztandary bractw religijnych, dalej proporce - relikwie, od wieków jako wota składane na Jasnej Górze, za nimi barwne sztandary Stowarzyszeń i Korporacyj Akademickich. Za nimi Duchowieństwo Polskie, prowadzone przez Prymasa Polski. I wreszcie — otoczony Delegacjami — niesiony na barkach młodzieży Cudowny Obraz.

Wzruszenie ogarnęło każde serce, a pieśni zabrzmiały żywiej i głośniej. A kto wytężył wzrok, ten dojrzeć mógł i drugi orszak towarzyszący orszakowi żywych. — Bo komuż z nas nie przyszły na pamięć w tej chwili wszystkie wielkie wydarzenia w historii naszej, wszystkie wielkie postacie historyczne, tak nierozerwalnie związane z tym świętym miejscem.

Z wysokości zaś polowego ołtarza spoglądała wzrokiem zatroskanej Matki. ustrojona w najwspanialsze szaty, których każdy klejnot był cząstką historii Polski, Królowa — na młodzież swojego Narodu. Nabożeństwo celebrowane przed polowym ołtarzem trwało a w duszy każdego, w promieniach łaski znikały ostatnie wątpliwości, ostatnie wahania.

I kiedy rozpoczął się podniosły akt ślubowania, zgodnym rytmem wzruszonych serc podniosła się do Tronu uroczysta przysięga.

„Prawowierni spadkobiercy, praojców naszych pobożności — wsłuchani w mocarne głosy przeszłości naszej — wpatrzeni w świetlane obrazy chwały narodowej— przyrzekamy przeto i ślubujemy —“

Lata następne, to historia wysiłków, podejmowanych, aby zaciągnięte zobowiązania wykonać. Lata zaś tragicznej dla Polski wojny, stwierdziły dowodnie — jak poważnie pojmowała młodzież swoje śluby.

W odmiennych warunkach, niż przed 14-tu laty, odnawiamy dziś to samo ślubowanie.

Wtedy, kiedyśmy we własnym domu, po raz pierwszy z troską i z przeczuciem tych ciężkich chwil, które na nasz dom spaść miały, przypadali do Stóp Najśw. Marii Panny, przyjmowała nas Ona w całym blasku i majestacie Królowej Korony Polskiej.

Dziś, kiedy jako uchodźcy i wygnańcy, przychodzimy, aby odnowić swoje śluby i podkreślić naszą wolę wytrwania, zbieramy się w miejscu, gdzie przed wiekami kult Jej został zakazany, gdzie za dobroć niepoliczoną, złość ludzka i nierozumne zaślepienie, zniszczyło Jej Święty Przybytek. Na gruzach i ruinach swojego Kościoła. wygnana przez Naród niewdzięczny, Miłościwa Pani przyjmuje nas, pozbawionych własnej Ojczyzny. I kiedy w perspektywie lat 14-tu, porównywać mi przychodzi, dzień pierwszej pielgrzymki akademickiej i dzień dzisiejszy, dwie rzeczy widzę potrzebę podkreślić.

Z jednej strony olbrzymi kontrast sytuacji, jakie tym dniom towarzyszą, z drugiej zaś strony — jakby w przeciwieństwie i jakby na przekór światu całemu, — ten sam zapał i tę samą gotowość służenia Polsce, cechująca młodzież obu tych dni.

Jesteśmy w wielu rzeczach inni i różni od swoich kolegów z 1936 roku. Łączy nas jednak ta sama ufność w przemożną opiekę naszej Patronki i łączy nas to, że w ten sam sposób, na tych samych drogach, szukamy rozwiązań dla siebie, dla naszych bliskich i dla naszego Kraju.

Każdemu zaś kto pamięta ubiegłe lata, nasuwać się musi pytanie, w jaki sposób w okresie, kiedy tak straszną i tak nieubłaganą prowadzono walkę o duszę człowieka, potrafiliśmy uratować od zniszczenia wszystko to, co w nas jest najszlachetniejsze.

I rozpamiętując miniony okres, ze wszystkimi jego okropnościami, musimy dojść do wniosku, że w tym czasie mieliśmy nad sobą przemożną opiekę. I że opieka ta nie ustaje, ale prowadzi nas stale i towarzyszy nam wszędzie. Prawdziwą i słuszną wskazuje nam drogę.

Ślubowanie to słowo ważkie, wiążące w obliczu Boga wypowiedziane.

Jest ono aktem wiary w Boga i Tajemnice Jego święte.

Z wyznaniem łączy również nasze mocne postanowienie trwania w tej wierze. W tych chwilach ogólnego chaosu, jest wskazaniem, gdzie jest prawdziwe kierownictwo duchowe dla zagubionego świata. Jest przyrzeczeniem synowskiej uległości dla tego kierownictwa.

Jest zarazem aktem głębokiej nadziei w zwycięstwo Prawdy Bożej. Z nadzieją spoglądając w Niebo, oddajemy pod Opiekę Matki Najświętszej siebie samych, rodziny nasze i całą Polskę.

Ślubowanie akademickie jest jednak nie tylko aktem niewzruszonej wiary i głębokiej nadziei. Jest ono również wyrazem stanowczym woli naszej i zapowiedzią działania. Jest więc aktem miłości.

Słowami roty przyrzekamy czynnie współdziałać w obronie prawd wiary. Przyrzekamy wprowadzać je w swoje zycie osobiste, rodzinne i narodowe. Przyrzekamy każdym dniem swoim dobrze przeżytym. przyczyniać się do takiej budowy społecznej i państwowej, w której sprawiedliwość Boża byłaby pierwszym artykułem konstytucji.

Ale w życiu Polaka nierozdzielne sa dwa pojęcia: szczęście jego osobiste i szczęście jego Ojczyzny.

Wypływa to z potrzeby naszych serc i ugruntowane zostało naszą wielowiekową historią. Kościół katolicki w ciągu minionych wieków zrósł się z historią naszego narodu. A ciosy, które biły i biją w Kościół, uderzają i w nasz naród, w nas samych. Rozkwit Kościoła katolickiego w Polsce towarzyszy rozwojowi politycznemu naszego narodu. Wielokroć Kościół stawał się ostatnią ostoją naszego życia narodowego i wiele razy potęga polityczna naszego narodu stawała w obronie zagrożonych posad Kościoła.

I ślubowanie nasze jest również wypowiedzią, jak głęboko te dwa pojęcia ze sobą związane, tkwią w naszej duszy. Polecając przemożnej opiece siebie, polecamy również i naszą Ojczyznę. Kraj, który porzucić nam przyszło i do którego tak bardzo tęsknimy. W ślubowaniu, zobowiązujemy się również i do tego, że co roku w pielgrzymce zbierać się będziemy w miejscu poświęconym kultowi Najśw. Panny Marii i odnawiać swoje ślubowanie.

Czym jednak ma być ten corocznie składany hołd u stóp naszej Patronki? Czy tylko wypowiedzią naszego serca? Czy tylko wyrazem naszego szlachetnego porywu? Czy nie ma on być zarazem dniem obrachunku i osądzenia dotychczasowego naszego postępowania? Ślubowanie akademickie jest przecież nie tylko zobowiązaniem do trwania, ale rownież i postanowieniem — działania. Z perspektywy mijającego roku ten dzień ma być dniem obrachunku naszych dotychczasowych osiągnięć; ma być porównaniem naszych zamierzonych planów z rezultatami. A jeśli robimy obrachunek ze spraw dokonanych porównując je z zamiarami, **róbmy** ten rachunek ze spraw swoich — a nie cudzych. Mówiny, co każdy z nas zrobił. a nie mówmy o działaniu innych. Nie zasłaniajmy słabością innych własnej niemocy. Bo nie cudze upadki usprawiedliwiać nas mają, ale nasze własne postępowanie.

Bo nie jest pyszną duszą prawdziwie pobożna — ale pokorna. Nie wskazuje na upadki cudze, ale z pokorą wyznaje swoje.

Z doświadczeń dnia wczorajszego bierzmy naukę na dzień jutrzejszy. Pouczeni nią — zakreślajmy plan działania na przyszłość. I znowu, planując, nie planujmy dla innych, ale dla siebie samych. Ustalajmy i plan wspólny, ale nie po to, aby w ten sposób przerzucić odpowiedzialność na drugich, ale po to, aby we wspólnym planie zapewnić dla siebie i swoich możliwości odpowiednią cząstkę.

Przeżycia lat ubiegłych głębokie pozostawiły w nas ślady. Wgryzło się przede wszystkim do duszy naszej powątpiewanie. Towarzyszy temu głęboka nieufność dla spraw i ludzi. I ogarnęło nas poczucie własnej bezsilności, a daremności każdego wysiłku. Wątpienie, nieufność i przekonánie o własnej niemocy wypływają z różnych źródeł.

Będąc świadkami i uczestnikami tych strasznych dni wojny, widząc tyle doznanych, a niezawinionych (w przekonaniu naszym) krzywd swoich i drugich, nie umieliśmy znaleźć wytłumaczenia potrzeby tak wielkich cierpień. A przecież jak mówi Ojciec Św.: „godziny tak bolesnych rozczarowań bywają godzinami łaski, „Przejściem Pana“, w których na głos Chrystusa łatwiej się otwierają drzwi ludzkich serc.“ Zgromadziła się nieufność w naszej psychice do wszystkiego i do wszystkich. Podejrzewaimy, że jesteśmy stale objektem czyichś planowań, czyjegoś działania.

To prawda, że wiele doznaliśmy zawodów, przeżyliśmy wiele rozczarowań i skosztowaliśmy gorzkiego smaku klęski. A im więcej uczucia i im więcej wysiłku włożyliśmy — tym większy przyszedł żal i tym większe załamanie. I nieufność do tych, co nami w tym czasie kierowali. Zastanówmy się jednak, czy ten czas miniony nie był zarazem okresem próby i dla nas samych? Czy nie był godziną „Przejścia Pana“? Czy właśnie tą próbą nauczeni, nie powinniśmy właśnie dziś umieć rozróżniać dobra od zła? I czy odsuwając od siebie sprawy oceniane jako złe i ludzi, mamy pozostać obojętni dla dobrych spraw? Godnych wysiłku?

Nasze zaś poczucie bezsilności wypływa często z fałszywego porównywania. Z porównywania spraw różnych na fałszywych płaszczyznach.

Zahipnotyzowani astronomicznymi cyframi budżetów państwowych, wydatków na zbrojenia, całą potęgą materialną obu szykujących się do walki obozów, my ze swoimi sprawami, ze swoimi ideałami, tak skromnymi liczbą, czujemy się po prostu bezsilni. I mimo woli porównujemy siły duchowe, które nam gromadzić trzeba z tą całą potęgą materialną zapominając, że nie można spraw ducha i spraw materii tym samym mierzyć przymiarem. I w takich chwilach, kiedy te siły obliczamy, nie porównujmy ich ze statystykami i cyframi, ale słuchajmy raczej głosu Chrystusa, który groszowi biednej wdowy tak wielką przypisał wartość.

Nie można niczego w życiu dokonać, jeśli się wpierw nie uporządkuje własnego ja. Trzeba wpierw wyzbyć się wszelkich wątpliwości, bo jeden tylko zmysł potrafi nam wskazać słuszną drogę — zmysł wiary.

Trzeba również przełamać w sobie nieufność, która stwarza przepaść pomiędzy jednym człowiekiem a drugim. I trzeba wydobyć z siebie poczucie siły, płynące z przeświadczenia o słuszności wyznawanych przez siebie ideałów. Jeszcze więc raz przyjrzyjmy się tym chwilom naszego życia, które zrodziły zwątpienie. Jeszcze raz skontrolujmy swoją sceptyczną postawę wobec życia, wobec spraw nam niewątpliwie drogich i bliskich i wobec ludzi. I raz jeszcze spróbujmy przeszacować swoje siły — stosowne biorąc przymiary.

I to jest nasze najważniejsze zadanie.

A uszczęśliwimy siebie samych, Kraj nasz drogi i zadziwimy świat cały.

Pokrzepieni na duchu i wzmocnieni na siłach, wracamy do swoich codziennych trosk i zmartwień. Do nauki, dla której mamy warunki może najlepsze spośród swoich Kolegów i tych w Polsce i tych w innych krajach. Do życia rodzinnego, które z tak wielkim trudem odbudowujemy. Do pracy społecznej ,w której uczymy się życia wspólnego i czynnej miłości bliźniego.

Każdym dniem swoim, każdym uczynkiem, każdym osiągnięciem naukowym, każdą akcją społeczną dobrze przeprowadzoną, dajmy dowody naszej woli w wykonywaniu raz powziętego postanowienia.

I prośmy nieustannie, niech nam w trudnym a zbożnym dziele: „Dopomaga Bóg i Bogurodzica — Bogiem Wsławiona Maryja“.

Ludwik Angerer

ŚWIAT JUTRA BĘDZIE TAKI

(Dokończenie ze str. 1-ej)

szlakiem przodków i równocześnie najpewniejszym szlakiem Kościoła.

Wszystko co powiedziałem, podkreśla ważność ślubowań i dlatego mam jedną wielką prośbę do Was wszystkich, abyście ponowili je z pełną świadomością ich wielkości, aby ich nie traktować jako jednej z wielu tradycyjnych manifestacji religijnych, którą razem z robionymi dzisiaj zdjęciami składa się nieobowiązująco do albumu miłych wspomnień. W takim bowiem razie lepiej nie składać ślubowań zupełnie. Lekkomyślność zaś nie byłaby usprawiedliwieniem, a raczej obciążeniem.

Słowa dzisiejszego Introitu mają swoją aktualną wymowę: „Powstaje Bóg: pierzchają nieprzyjaciele Jego“ — o to chodzi. Stać się to jednak może tylko pod warunkiem, że Bóg powstanie żywy w nas przy naszej świadomej współpracy, pełnej dobrowolnego zaparcia się siebie.

Ku temu prowadzą ślubowania jasnogórskie dzisiaj ponawiane. Amen.

X. Tadeusz Kirschke

ZOFIA BOHDANOWICZOWA

PREFACJA

Z CYKLU: MSZA ŚW.

Jakże ma Cię wielbić niedołężny człowiek
I jakimi słowami chwałę Twą wypowie,
Gdy najpiękniejsze słowo w Twej piękności Bożej
Tonie jak kropla deszczu, co upadła w morze?
Tyś jest końcem wszystkiego, wszystkiego początkiem
I wszystkiego na świecie Tyś treścią i wątkiem;
Wszelkie życie otwierasz jak świt modrooki
I wszelki byt zamykasz jak dzień nocy mrokiem.
Wszystko sobą napełniasz, wszystko z Siebie stwarzasz
I w Tobie się rzecz wszelka najpełniej wyraża.
Kropla rosy z Twej łaski lśni jasnością wielką
Słońca, które u stóp Twych jest tylko kropelką;
Ziarno piasku tym samym rytmem się kolebie
Co gwiazdy — garstka piasku, którąś rozsiał w niebie.
Trawka polna te same zna cudowne sprawy
Co drzewa, dygocące przed Tobą jak trawy;
Serce, które materii krótkim życiem żyje,
Z Ciebie, Źródło żywota, nieśmiertelność pije
I, łącząc się z wszechświatem w hymnie z Ciebie wziętym,
Powtarza w zachwyceniu: Święty! Święty! Święty!

ZOFIA BOHDANOWICZOWA

KOMUNIA

Z CYKLU: MSZA ŚW.

Bóg, Syn Boga żywego i Światłość Światłości,
Przyszedł do mnie i objął mię ręką miłości.

Gdybym zdobyła wszystko złoto tego świata,
Jeszczebym tak jak teraz nie była bogata.

Gdyby mi hołdowały ludy i plemiona,
Jeszczebym tak jak teraz nie była wsławiona.

Gdyby wszystkich serc ludzkich krąg mnie opasywał,
Jeszczebym tak jak teraz nie była szczęśliwa.

Bo wszelka radość ziemska uwiędła i zbladła.
Kiedy mię Bóg mój posiadł i jam Go posiadła.

I wszelka ziemska troska jak cień nocny pierzchła,
Kiedy ja w Jego Sercu, a On w moim mieszka.

Nieprzyjacioły moje połamał jak trzciny,
Mnie jak perłę wyłowił z odmętu przewiny,

Otarł mię z nieczystości światłem Swojej łaski
I teraz patrząc na mnie cieszy się mym blaskiem.

MARIA CZAPSKA

DIALOGI O ŚMIERCI MĘCZEŃSKIEJ

„Pan Jezus będzie konał do końca świata, w tym czasie nie wolno nam więc zasypiać.“

PASCAL: „MYŚLI“

CAŁA rozmaitość i całe bogactwo sprzeczności zawartych w Bernanosie, jego męstwo i trwoga, jego rzucanie życia w ofierze i miłość „słodkiego Królestwa Ziemi“, jego dziecięctwo i dojrzałość, jego ludzkie pojęcie honoru i korne poddanie się woli Bożej, wszystkie tęsknoty i lęki człowieka i chrześcijanina odnajdujemy w *Dialogues des Carmelites*[1], ostatniej pracy wielkiego pisarza.

W 1794 r. Trybunał Rewolucyjny w Paryżu skazał na śmierć 16 Karmelitanek z Compiègne, które zostały ścięte 17-go lipca. Na podstawie relacji naocznego świadka męczeństwa, jednej z zachowanych przy życiu zakonnic, napisała Gertrud von Le Fort chyba najlepszą swoją nowelę *Die letzte am Schaffot* (Ostatnia na Szafocie), która to nowela posłużyła za kanwę do scenariusza. Bernanosowi powierzono napisanie dialogów do tego scenariusza. Pisał je w przeddzień ostatniej choroby, w obliczu śmierci, którą już nosił w sobie i poświęcał tej pracy od 8 do 10 godzin dziennie. Trzymając się ogólnych ram scenariusza, stworzył jednak dzieło najzupełniej własne. Krytyka francuska uznała *Dialogi* za rzecz jeśli nie najsilniejszą to w każdym razie najbardziej rewelacyjną z całej twórczości Bernanosa, za ostatnie jego wyznanie i wskazanie.

Ten owoc bolesnej dojrzałości artysty i chrześcijanina jest bowiem spowiedzią przejmującej szczerości.

Cały utwór stoi pod znakiem śmierci, śmierci chrześcijańskiej. „Od dawna już — pisał Bernanos do swego wychowawcy w 1905 r. (miał wtedy lat 17) na skutek mego chorowitego dzieciństwa, lękam się śmierci i niestety (mój Anioł Stróż powiedział by może: na szczęście) wciąż o niej myślę. Każda choroba zdaje mi się zapowiedzią ostatniej, której się tak obowiam (...), dopiero od dnia mojej Pierwszej Komunii światło Łaski zaczęło mnie oświecać. I powiedziałem sobie, że nie tyle należy starać się o szczęśliwe i dobre życie, co o dobrą śmierć, która jest kresem wszystkiego na tym świecie.“

Swoją trwogę przed śmiercią wcielił Bernanos w nękaną lękiem, jak chorobą, młodziutką Blanche de la Force, w zakonie Siostrę Blanche od Agonii Chrystusa, postać imaginacyjną, która była jak by odwrotnym obrazem historycznej Siostry Konstancji od św. Dyonizego, co, mimo wielkiej miłości życia, położyła pierwsza głowę pod nóż gilotyny i była najmłodsza z zakonnic.

Dramat rozpoczyna się w przeddzień Rewolucji i trwa aż do spełnienia wyroku. W pewnej chwili szalejący tłum wdziera się za mury klasztorne, kapelan musi uchodzić, ukrywać się i tylko ukradkiem odwiedza swoje owieczki.

— To nie do wiary, żeby tak ścigano księży w kraju chrześcijańskim! — powiada S. Konstancja — Czyżby Francuzi stali się aż tak nikczemni?

A doświadczona Siostra odpowiada: — Boją się, wszyscy się boją, i udzielają sobie tego lęku jak dżumy lub cholery w czas zarazy...

Straszną chorobę tamtych czasów, „zarazę“ naszego wieku stawia Bernanos w *Dialogach* pod znakiem Agonii Chrystusa, który grzechy nasze dźwigał i, krwawym potem zlany, od uczni opuszczony, prosił Ojca, by oddalił od niego ten kielich Agonii Syna Bożego, który na krzyżu skarżył się głosem wielkim, że Bóg go opuścił.

„Męka Chrystusa Pana pomiędzy Ogrodem Oliwnym a Kalwarią zawiera wszystkie najnędzniejsze i najbardziej rozpaczliwe ludzkie agonie“ — pisał Bernanos, wiele lat przedtym, nim stworzył postać S. Blanche. I wówczas, kiedy brat panny de la Force, zwanej w domu Zajączkiem, przypomina siostrze własne jej wyznanie, że co noc umiera z trwogi, a ona odpowiada mu: — „Bo też poranek, Panie Kawalerze, był tylko jeden, Poranek Zmartwychwstania, gdy każda noc jest nocą Przenajświętszej agonii...“ — to słowa te, włożone w usta młodej dziewczyny, którą płoszy byle cień na ścianie są własnym, o niepowtarzalnym brzmieniu wyznaniem samego Bernanosa.

O tej samej trwodze mówi święty ksiądz Chevance w jego powieści *Radość*, uznając ją za „córkę Boga“, odkupioną w noc Wielkopiątkową „tę samą, która trwa u wezgłowia każdej agonii i wstawia się za konającym.“ W liczbie pierwszoplanowych postaci *Dialogów* znajduje się stara Ksieni, która swoją ciężką i jakby od Boga poniechaną śmierć ofiarowuje za najmłodsze i najbardziej zagrożone swoje dziecko Blanche, tę samą, która w ostatniej chwili wstąpi zwycięsko na stopnie szafotu. Po niej następuje Matka Lidoine, umysł zrównoważony, trochę nawet przyziemny, skrzętna gospodyni, troskliwa o powierzone sobie córki, ale nie uznająca żadnego uprzedzania wypadków, żadnego wybiegania naprzeciw męczeństwu w egzaltowanej gorliwości, czy też w myśl po ludzku pojętego honoru. „...Nie należy gonić za męczeństwem — upomina S. Konstancję — wszystko w swoim czasie... Modlitwa jest naszą powinnością, męczeństwo byłoby nagrodą...“

Kiedy po aresztowaniu zakonnic, pozostaje im jeszcze nadzieja uniewinnienia się przed Trybunałem Rewolucyjnym, a złożony ślub dobrowolnego męczeństwa zakłóca sumienia: „Spokoju, córki moje, powiada im Ksieni — ja za was odpowiadam przed Bogiem i zrobię wszystko, co jest w mojej mocy dla waszych dusz, ale też i dla waszego życia. W tej chwili, w której bardziej niż kiedykolwiek, czuję się waszą matką, są mi dusze wasze omal równie drogie jak życia. Jeżeli się mylę, niechaj mnie Bóg sądzi. Koniec końców Matki świętych Męczenników rzadko kiedy trafiały do kalendarza...“

Mistrzyni nowicjatu, Matka Maria od Wcielenia, inicjatorka owego zbiorowego, i do pewnego stopnia wymuszonego opinią klasztorną ślubu męczeństwa za Francję i Karmel, to ta co zostaje pomimo woli zachowana od męczeństwa, by móc świadczyć o śmierci towarzyszek. Rycerska niezłomność Marii, nieustraszone męstwo wobec komisarzy rewolucyjnych i czysto szlacheckie pojęcie honorowych zobowiązań, nie mających nic wspólnego z powinnościami wyznawcy, charakteryzują tę piękną i widocznie bardzo też bliską autorowi postać.

„Twój honor — powiada Matce Marii kapelan — oto jest ta krew, której Bóg od Ciebie żąda i którą powinnaś przelać. Wiem, że chętnie byś oddała tamtą, co płynie w twoich żyłach, wytaczając ją jak wodę, a do ostatka, podczas gdy każda kropla tej pierwszej kosztuje cię więcej niż życie...“

Stałą udręką Bernanosa była niesprawość świata, pogrążonego w smutku i grzechu, marność człowieka i upodlenie tej masy ludzkiej, bezmyślnej i bezwolnej, stawiającej bierny opór nie tylko łasce Bożej, ale nawet tyranii. Porywy szału, które go ogarniały na skutek jakiejś zdrady lub odstępstwa od przedwiecznego Bożego wzoru, szały które go skłaniały do walki mieczem lub piórem przeciwko książęciu Świata tego, nie były wolne od pychy, ziarna posianego przez upadłych Aniołów. Bernanos zdawał sobie z tego sprawę i oto odpowiedź na ten opór na ludzką miarę stawiany złym mocom, odpowiedź włożona w usta Matki Lidoine: „Powołaniem naszym nie jest bynajmniej sprzeciwianie się niesprawiedliwości — powiada — ale jej odpokutowanie, odkupienie... same powinnyśmy stać się tym okupem.“ Słowa te dopełniające niejako pogląd jednego ze świętych księży Bernanosa, który powiada: „Zło należy zwalczać wedle sił naszych, co do reszty powinniśmy się nauczyć znosić je w spokoju...“ (*„Monsieur Ouine“*).

Tego to pokoju, tego wewnętrznego uciszenia się wobec zła, które zwalczać nie jest w naszej ludzkiej mocy, zaznał Bernanos chyba dopiero w ostatnim, przedśmiertnym okresie swego życia.

Za swoich mistrzów i poprzedników uznawał Bernanos Leona Bloy i Charles Péguy. Pierwszy płonął ogniem zgrozy na widok gwałcicieli praw bożych, podobnie jak autor *Cmentarzy w świetle księżyca*, drugi przypominał Bernanosa miłością do „słodkiego Królestwa Ziemi“ i braterską solidarnością z cierpiącym człowiekiem. Ale wizja Bernanosa, jego stosunek do zbrodniarzy i ofiar ich przypominają nam też niejednokrotnie świat Dostojewskiego, będąc na miarę bólu i współczucia wielkiego wizjonera rosyjskiego.

Wstępując na stopnie gilotyny, Karmelitanki z Compiegne śpiewały Psalm 116 (z liturgii Wielkosobotniej): *Boga naszego chwalcie wszystkie ziemie, daj mu cześć winną całe ludzkie plemię! Bo litość Jego nad nami stwierdzona, a Prawda Pańska wiecznie uiszczona...*“

W *Dialogach* zakonnice, idąc na śmierć, śpiewają *Veni Creator*. W usta ostatniej z nich, S. Blanche, wkłada Bernanos ostatnią zwrotkę hymnu:

„Deo Patri sit gloria... Bądź chwała Bogu Ojcu, Synowi co wstał z martwych i Pocieszycielowi na wieki wieków Amen.“

W formie obecnej *Dialogi* nie nadają się do filmu, wymagałyby zbyt dużych skrótów, wszelako rzecz ma się niebawem ukazać na scenie jednego z awangardowych teatrów paryskich.

Maria Czapska

1) *Editions du Seuil. Paris 1949.*

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

DYPLOMACJA I HANDEL Z HUNNAMI

ZBLIŻAMY się do zapomnianej a bardzo interesującej rocznicy a mianowicie do tysiącpięćsetlecia wyprawy Attyli na Galię i wielkiej bitwy na Polach Katalońskich (tj. w Szampanii a nie w Katalonii). Pamiętamy coś o tym, że była to jedna z bitew decydujących o losach świata, że dzielny Aecjusz, Rzymianin, pokonał nawałę wschodnich koczowników, ciągnących pod wodzą „Bicza Bożego“ na podbój świata cywilizowanego. A w rzeczywistości historia nie jest tak prosta, ale zato jest o wiele ciekawsza. W tych dziejach z przed półtora tysiąca lat widzimy w formie niemal czystej i, dodajmy odrazu — wciąż aktualnej, tragikomedię stosunków między cywilizowanymi i bogatymi imperiami a wyrosłą na stepach bojową potęgą nomadów.

Złudzeniem jest, że Hunnowie pojawili się jako wielka potęga wprost ze stepu eurazjatyckiego i parli przed sobą wszystko, niosąc pożogę i mord aż do Francji. Hunnowie pojawili się w Europie o dwa pokolenia przed wyprawą na Galię i mieli wcale bogate i skomplikowane stosunki z Rzymem. Imperium Rzymskie żyło wtedy w stanie głębokiego fermentu. Od przeszło wieku było ono oficjalnie chrześcijańskie, ale cały jego ustrój społeczny i państwowy, cała tradycja kulturalna były pogańskie. Chrześcijaństwo samo było rozbite bardziej niż dziś. Władca wschodniej, bogatszej, bardziej cywilizowanej i spoistszej połowy Imperium, cesarz Teodozjusz był heretykiem, monofizytą. W obu częściach Imperium szerzył się arianizm a pozycja papieża była nader słaba. Katolicy byli zapewne w mniejszości. Ludzie cywilizowani nie chcieli służyć w wojsku, armia składała się z barbarzyńców, przeważnie germańskich. Wszyscy jednak zgodnie uznawali ustrój rzymski za jedyny możliwy i cywilizowany.

Kiedy Hunnowie podbili państwo ukraińskich Ostrogotów, reakcja cesarstwa wschodniego ograniczyła się do udzielenia azylu części uchodźców. Pojawienia się nowych barbarzyńców nie uznano za żadne nieszczęście. Przeciwnie stara zasada polityczna nakazywała szukać sojuszu z dalszymi barbarzyńcami przeciwko bliższym. Wkrótce też zaczęto najmować całe watahy huńskie do służby wojskowej. Watahy takie służyły na Bałkanach, jedną z z największych sprowadził nie kto inny, ale właśnie tenże Aecjusz do Włoch do walki z cesarzową zachodnią a następnie trzymał w ryzach i Gallów i Germanów w Gallii przy pomocy kawalerii huńskiej. Przede wszystkim zaś Imperium Wschodnie z Hunnami handlowało a przynajmniej starało się handlować. Hunnowie zaś byli wcale dobrymi dyplomatami i wobec ich bezczelnej, szantażowej metody negocjacji subtelne metody wywiadu i przekupstwa rzymskiego najczęściej zawodziły.

Hunnowie mieli stale pretensje do Rzymian i oskarżali ich wciąż o łamanie traktatów i złe zamiary. Zmuszali ich do wydawania uchodźców zza Dunaju, do podarków i przywilejów handlowych. Chwyty mieli czasem pomysłowe. Naprzykład prowadzili pertraktacje nie zsiadając z koni, co zmuszało wykwintnych Rzymian do siedzenia godzinami w siodle i bardzo osłabiało ich zdolności negocjacyjne. Sprawozdanie posłów rzymskich z misji dyplomatycznej do Hunnów czyta się jak współczesny reportaż. Zaskakiwanie brutalnością, to znów wystawne bankiety, groźby, pozbawianie swobody ruchów, oskarżenia, zrywanie rokowań, wykorzystywanie każdej niezręczności, przewlekanie i obelgi — wszystko to pomieszane a celowe. Aż dziw, skąd u tych prymitywnych koczowników, których żółte płaskie twarze i baranie kożuchy przerażały Rzymian, tyle wrodzonego talentu do targów i taka szkoła azjatyckiej dyplomacji. Chyba słuszna musi być hipoteza, że Hunnowie, to chińscy Hsiuń-nu, którzy pustoszyli Państwo Środka aż wykończenie Wielkiego Muru pchnęło ich na Zachód, gdzie przeciw nim zbudowano drugą największą fortyfikację owych czasów, Mury Carogrodu. Jeżeli tak, to musieli coś zaczerpnąć z cywilizacji chińskiej. Tę samą szkołę polityczno-dyplomatyczną, tylko jeszcze bardziej rozwiniętą i z wyraźnym chińskim pochodzeniem pokazać mieli Europie w blisko osiemset lat później Mongołowie, nowi najeźdźcy z serca Azji. Coś z tej szkoły odnaleźć można w pośredniej fali azjatyckiej, u ludów tureckich, które z dwuch stron wpłynęły do Europy w połowie czasu między huńskim a mongolskim najazdem.

Dopiero kiedy Hunnowie pod wielkim wodzem Attylą, objąwszy pod swą władzę ludy od Morza Kaspijskiego po Bałtyk i Ren, uderzyli na Galię, Imperium zdobyło się na walkę i silniejszą obronę. Ale nie należy sobie wyobrażać, że na Polach Katalońskich walczyli Rzymianie Aecjusza z Hunnami Attyli. „Rzymianie“ Aecjusza to byli przede wszystkim germańscy Wizygoci, potem Frankowie, Burgundowie, Alani, Armorykanie. Z drugiej strony Attyla dowodził nie tylko Hunnami, ale przede wszystkim satelitami: Burgundami wschodnimi, Rugami, Gepidami, Turyngami, Ostrogotami, Frankami. W pierwszym rzędzie po obu stronach bili się Germanie. Bitwa zakończyła się wielkim zwycięstwem Aecjusza. Zwycięstwo to nie zostało w pełni wykorzystane. Po bitwie jesteśmy świadkami jedynego w swoim rodzaju widowiska: Wizygoci i Frankowie Aecjusza chcą ruszyć za pokonanymi i wyrżnąć jego słabo ubezpieczony obóz, a wódz rzymski zręczną intrygą skłania władców obu tych ludów do szybkiego powrotu: jednego z nich do Tuluzy, a drugiego do Belgii, sam zaś pozwala ujść Hunnom. W interesie Rzymu nie leży bynajmniej wzmocnienie kłopotliwych sojuszników germańskich a zwłaszcza Wizygotów , na których niedawno trzeba było nasyłać Hunnów. Rzym woli, żeby Hunnowie pozostali wschodnimi sąsiadami, choć już nie okupantami Germanii.

Hunnowie, choć pozostawili po sobie wspomnienie szczególnej grozy i zniszczenia, nie byli całkiem pozbawieni sympatii w niektórych sferach społeczeństwa rzymskiego. W zachodniej Galii i w niektórych częściach Hiszpanii szerzył się wtedy ruch rewolucyjny tzw. Bagaudów a nawet między ujściem Garomny a ujściem Sekwany mieli oni swoje efemeryczne państwo, rządzone przez zbuntowanych niewolników i tubylców. Gdy Aecjusz tłumił ten ruch, jego przywódcy uciekli do Hunnów. Widocznie były między Bagaudami a Hunnami jakieś stosunki.

Hunnowie nie przestrzegali jakichś zasad rasowych i przyjmowali do swego grona nawet Rzymian i Germanów. Hunnem wysoko postawionym był Rzymianin Orestes, ojciec ostatniego cesarza zachodniego , Romulusa.

Co zaś jest w tym wszystkim najbardziej ironiczne, to, że politycy konstantynopolitańscy następnego po Teodozjuszu pokolenia mogli uważać politykę cesarstwa wobec Hunnów za mądrą i słuszną. Całe niebezpieczeństwo nie trwało nawet jednego stulecia i nie pociągnęło za sobą zasadniczego zniszczenia państwa. Ucierpieli barbarzyńcy i niektóre prowincje pograniczne. „Nasz system ma różne braki i słabości — rozumowali oni pewnie — ale przetrzymuje niebezpieczeństwa i odradza się, jest viabilis, a to na tej ziemi już bardzo wiele“.

I dlatego zapewne znajdują oni następców psychicznych na przestrzeni piętnastu wieków.

A mnie mimo wszystko żal tych chrześcijańskich zbiegów, których chrześcijańscy Rzymianie wydawali pogańskim Hunnom na ukrzyżowanie (bo choć w Rzymie Konstantyn zniósł karę krzyża, Hunnowie stosowali ją powszechnie).

Wojciech Wasiutyński

K T O ?

z PAILDON SHIPLEY, Yorks w dniu 6 czerwca b.r. pod adresem Veritas Foundation Publication Centre wysłał Money Order Nr. PLJ 32204 na kwotę £. 4.0.8 bez podania adresu nadawcy i celu wpłaty — zechce jak najrychlej zgłosić się listownie pod adresem, na który wysłał M. O.

KSIĄŻKI ANGIELSKIE

czyli recenzja o recenzjach

FILOZOFIA. — DOSTOJEWSKI. — NOWE BRONIE PRZECIW NOWYM BRONIOM. — COŚ DLA WOJSKOWYCH

PRZEGLĄDAJĄC stosy recenzji powycinanych z poważnych czasopism brytyjskich, myślę o ludziach, którzy czytają te książki i o książkach, które są czytane.

Jeśli chodzi o powieści kryminalne, poradniki poolowe lub książki o krickecie — to odbiorcy tej literatury są liczni: tu nie ma żadnego wydawniczego humbugu (poważne tygodniki, jak np. „New Statesman and Nation" prowadzą przecież specjalne rubryki recenzyjne o powieściach kryminalnych pod niewinnymi tytułami „Murder", albo „Detection"); dowodzi to, że nawet intelektualiści angielscy czytają to śmiecie i domagają się selekcjonowania ich dla nich: jeden chciałby mieć jakiś mordzik seksualny, inny specjalizuje się w mordach familijnych dla uzyskania spadku, tamten znów woli wyrafinowane oszustwo. Ale jeśli chodzi o książki poważne i literaturę piękną, to mam poważne podejrzenie, że człowiek współczesny, robot fabryczny czy intelektualny (taki np. recenzent filmowy, który — aby żyć — musi tygodniowo obejrzeć do 10 filmów i opisać je dla jakiejś redakcji) nie ma czasu na ich czytanie. Pozostają biblioteki publiczne, ludzie starsi i zabezpieczeni oraz ci, którym los dał gorzkie błogosławieństwo niezbyt bolesnej, pozwalającej na czytanie choroby. No i więźniowie, którym w tym kraju wprawia się zęby w pierwszej kolejności, wręcza okulary (i ewentualnie peruki — łysym) w ramach National Health Scheme i pozwala czytać w czasie wolnym po szyciu pocztowych worków.

Otóż to właśnie: poważnie liczą się tylko biblioteki. Tylko czy książki o pewnej wadze gatunkowej są tam rzeczywiście czytane? Gdyby istniała czarodziejska farba drukarska, którą się „wyczytuje", która znika po przeczytaniu danego słowa — wtedy możnaby odpowiedzieć z całą pewnością czy i kto czytał daną książkę. Niestety nie istnieje — trzeba polegać na statystykach, a te—jak wiadomo—są, naogół najbardziej wyrafinowanym gatunkiem kłamstwa. Zresztą nie znam, niestety, statystyk bibliotek brytyjskich i podejrzewam, że nie dotyczą one poczytności poszczególnych książek.. Mogę polegać tylko na własnej intuicji i skromnych obserwacjach, które nasuwają mi przypuszczenie, że tysiące produkowanych w tym kraju książek znajduje tylko setki, albo nawet dziesiątki prawdziwych czytelników. Resztę drukuje się poto, aby dać zarobek drukarzom, fabrykantom papieru, wydawcam i... recenzentom.

Tak, czy owak — książki się ukazują, o książkach się pisze, wypada pisać, trzeba pisać. Trzeba pisać nawet wtedy, gdy się ich nie czyta, albo czyta tylko nieliczne — jak to czyni piszący te słowa, człowiek bardzo zajęty t. zw. walką o byt, czyli o £. 5 tygodniowo. Przystępując do tego przeglądu, a raczej recenzji o przeczytanych recenzjach, mam tylko jedną prośbę do polskiego czytelnika: aby zechciał napisać do redakcji, jeśli kupi lub pożyczy i przeczyta którąkolwiek z książek wzmiankowanych w „Życiu". Każdy taki list będzie dla redakcji i jej kulturalnego referenta cenną wskazówką i sprawdzianem, czy słowo o książce idzie w próżnię, czy też trafia choćby do paru osób.

Po tym przydługim wstępie czas wziąć sią do roboty. Zaczniemy — rzecz jasna — od filozofii. „Catholic Herald" piórem fachowca, podpisanego „Master of Campion Hall" omawia aż cztery nowości filozoficzne, z których dwie uznaje za słabe, trzecią za dobrą i czwartą za ciekawą. Wybieram więc tylko te dwie ostatnie.

„*A Short History of Western Philosophy in the Middle Ages*" *S. J. Curtisa* uznaje recenzent katolickiego tygodnika za dzieło zachwycające, choć zastrzega się, że najwięcej podobała mu się przedmowa pióra panny Dorothy Sayers, będąca sama przez się dziełem sztuki esseistycznej. Reszta książki jest napisana bardzo żywo. — Charakterystyki filozofów systemów filozoficznych średniowiecza zaczynają się od św . Augustyna a kończą na Julianie z Norwich. W sposób niezwykle ciekawy i oryginalny ujęty został rozdział o mistyce średniowiecznej. Książka ta, napisana w zasadzie dla studentów (autor jest profesorem Uniwersytetu w Leeds), godna jest przeczytania przez każdego inteligentnego człowieka interesującego się filozofią. Od siebie dodam, że myślowa wycieczka z naszych czasów w średniowiecze wydaje mi się przygodą ponętną, leczniczą i pełną uroku. Dla pedagogów specjalnie interesującym będzie rozdział książki Curtisa o szkołach i uniwersytetach średniowiecznych: autor wykazuje tu szczególnie ostrą jasność i precyzję wykładu. Inny rozdział został poświęcony muzułmańskim myślicielem, których wpływ na myśl europejską XIII w. coraz wyraźniej jest odsłaniany. Trzy rozdziały traktują wyłącznie o systemie filozoficznym św. Tomasza.

Drugą książką, którą — acz powściągliwie — zaleca czytelnikom recenzent „Catholic Herald"'a jest „*My Philosophy, Benedetto Croce'go.* Nie jest to, oczywiście, wykład metafizyki, lecz traktat, a raczej zbiór myśli o etyce i moralności, niewątpliwie ciekawy dla każdego, kto aspiruje do miana prawdziwego Europejczyka. Przekładu dokonał prof. Carrit. Krytyk angielski zwraca uwagę na ustępy książki, w których Croce podaje przyczyny, dla których „musimy nazywać siebie Chrześcijanami".

Gdy mowa o zagadnieniach etycznych i filozofii życia, powstaje dobra okazja do wzmianki o kilku nowych książkach o Dostojewskim, szeroko omawianych przez periodyczną prasę angielską. Pierwsza z nich — dzieło amerykańskiego uczonego *J. Simmonsa pt. ‚Dostoyevsky — The Making of a Novelist'* (wydanie f. J. Lehmann, cena 18 sh.) — spotkało się z entuzjastycznym przyjęciem licznych krytyków. Kay Dick w tygodniku „Public Opinion" chwali spokojną, beznamiętną metodę Simmonsa i porównywa go do Gulivera, któremu udało się złowić w sieć giganta. Posługując się tekstami utworów Dostojewskiego, zapiskami, szkicami dotychczas nieopublikowanymi i nie przeznaczonymi do druku, wreszcie dokumentami i relacjami o życiu pisarza, prof. Simmons śledzi pasjonujący proces przenikania cząstek psychiki myśliciela i artysty do jego dzieł, wcielania się w jego bohaterów. Rozdwojenie osobowości Dostojewskiego, ambiwalencja jego życia uczuciowo-popędowego i umysłowego — te wszystkie krańcowości i skoki, jakie obserwujemy w jego życiu prywatnym — transponowane są niemal ściśle na postaci powieściowe i odwrotnie: bohaterowie własnych powieści zdają się wywierać wpływ na samego autora. Powikłania te idą tak daleko, że chwilami zaczyna się wątpić, czy to pisarz tworzył swoje postaci, czy one formowały pisarza. I jeszcze jedna teza prof. Simmonsa, która wydaje mi się słuszna i bardzo ciekawa: „Dostojewski więcej przejmował się życiem samym, niż jego sensem. Gdy traktował życie jako tajemnicę, nie usiłował wyjaśniać rozumem tego, czego rozum nie może pojąć. U Dostojewskiego życie nigdy nie staje się abstrakcją próżną sensu i bezwartościową. Aczkolwiek powszechnie uważa się go za najwybitniejszego prekursora tak zwanej powieści psychologicznej, nigdy nie traktował on — jak to czyni wielu pisarzy obecnych — analizy jako celu samego w sobie".

Jednocześnie ukazała się inna książka o Dostojewskim: *‚Character of Dostoyevski' Richarda Curle* (Heinemann, cena 12/6). Niestety nic prawie nie mogę o niej powiedzieć, gdyż p. K. Allott, krytyk ‚Tribune', któremu powierzono omówienie tego dzieła, napisał w swej recenzji o wszystkim, tylko nie o książce. Niestety czynią tak niektórzy angielscy krytycy, dając w ten sposób publiczności zamiast ciastka (choćby z dziurką) — samą dziurkę po ciastku. W każdym razie notuję pojawienie się tego studium poważnego autora, za jakiego uważany jest Curle, jak również wydanie przekładu nowel Dostojewskiego pióra *Davida Magarshacka p.t. ‚A Gentle Creature and Other Stories'* — uznanego przez p. Allotta za dobry. Przy okazji pragnę także przypomnieć, że półtora roku temu wyszła książka Stanisława Mackiewicza o Dostojewskim (w języku angielskim), uważana przez specjalistów za bardzo interesującą (choć moim zdaniem Mackiewicz mógł był napisać ją lepiej).

Pisząc na wstępie o książkach, które mogą liczyć na ‚murowaną' publiczność, nie wspomniałem o pasjonujących udręczonego człowieka ery atomowej dziełach popularnych (a nawet naukowych) o przyszłej wojnie i sposobach jej prowadzenia lub uniknięcia. Do tego rodzaju książek należy dzieło *Vannevar'a Bush'a p. t. ‚Modern Arms and Free Men'*, które zostało omówione przez wszystkie większe czasopisma brytyjskie (wyd. f. Heinemanna, cena 10/6). Jest rzeczą możliwą, że autor tej książki jest człowiekiem najlepiej na świecie poinformowanym o nowoczesnych broniach. Jeszcze przez prezydenta Roosevelta mianowany był przewodniczącym amerykańskiego komitetu badawczo-wojskowego z zadaniem ‚zorganizowania i prowadzenia badań naukowych o sposobach użycia mechanizmów i wynalazków wojennych'. Następnie został powołany na stanowisko dyrektora wytwórni broni atomowych, znanej pod nazwą ‚Manhattan District Project'. Te fakty czynią z dzieła Busha autorytatywną wypowiedź człowieka absolutnie kompetentnego.

V. Bush zajmuje się nie tylko różnymi rodzajami broni produkowanych i projektowanych, ale także obrony na wypadek, gdyby były użyte przez nieprzyjaciela — przynajmniej niektórymi sposobami, bo nie o wszystkich pozwalają pisać amerykańskie władze bezpieczeństwa.

Metoda zastosowana przez autora przy opracowaniu dzieła stanowi — jak podaje recenzent „Times Literary Supplement" — oryginalną mieszaninę wykładu naukowego, oceny historycznej, wojskowej i politycznej, przy czym elementy te spojone są krytycznym, ale spokojnym i niezachwianym przeświadczeniem o wyższości ducha ludzkiego nad materią i wiarą w ostateczne zwycięstwo sprawy wolności. Charakterystyczny podtytuł książki daje niejakie pojęcia o nastawieniu Busha: ‚A Discussion of the Role of Science in Preserving Democracy'.

Obiecując światu okres wytchnienia i deklarując wyższość państw demokratycznych nad totalitarnymi w kwestii wynajdywania nowych broni obronnych, autor wzywa do pełnego wyzyskania drzemiących sił ludzkich. Wartościowi ludzie — pisze — powinni stanąć na wysokości zadania, a samolubstwo i małostkowe motywy muszą być zaniechane.

A oto główne linie wykładu p. Busha. Produkcja bomb atomowych jest bardzo powolna i kosztowna, a żaden agresor nie odważy się na ich użycie przed zmagazy-

WŚRÓD NO

nowaniem odpowiednich zapasów. Koszt przerzucania bomb na miejsce ataku jest bardzo poważny, przy czym każda metoda transportu może być zwalczana przez wikłanie kierunku nadawanego radarem. Metoda zastosowania ładunków atomowych do rakiet dalekosiężnych jest niepewna i nieproporcjonalnie kosztowna. Autor przewiduje raczej zastosowanie ulepszonych łodzi podwodnych do przewożenia potężnych ładunków atomowych, które mogłyby być umieszczane głęboko w wodzie w portach i u ujść rzek lub, po wynurzeniu się okrętu podwodnego o kilka mil od wybrzeża, przerzucane na wybrany cel. Prawdopodobieńswo tych sposobów jest tym większe, że obecnie czas zanurzenia łodzi podwodnej jest prawie nieograniczony, a wykrywanie jej przez urządzenia radarowe niezwykle trudne.

Zdaniem V. Busha mocarstwa zachodnie mają przed sobą dość czasu na opracowanie skutecznych metod obronnych przeciw broni atomowej jak i przeciw innym broniom. Wylicza następnie gazy trujące, wojnę bakteriologiczną, trucicielską oraz możliwość rozsiewania radioaktywnych produktów ubocznych, otrzymywanych przy fabrykacji bomb atomowych. Groźbom tym przeciwstawia historyczny fakt, że ludzie zawsze unikali stosowania trucizn na wielką skalę — oraz wielkie postępy w dziedzinie biologii i chemii, obiecujące znalezienie środków zaradczych.

Autor przyznaje, że obecnie nie istnieje uniwersalny sposób biernej obrony przed bombami atomowymi, wskazuje jednak na możliwości niszczenia tych bomb w drodze do celu przy pomocy kierowanych pocisków, działających na znaczną odległość i wybuchających pod działaniem specjalnych automatów, zastosowanych po raz pierwszy przeciw Niemcom pod Bostogne. Działanie tych aparatów wprowadziło wówczas w osłupienie dowództwo niemieckie i najprawdobniej przyczyniło się poważnie do ostatecznego załamania nieprzyjaciela. Obecnie wspomniane pociski rakietowe mogą poruszać się z szybkością 3.000 mil na godzinę. Jeśli chodzi o łodzie podwodne — to obrona idzie w kierunku ulepszenia metod magnetycznego ich wykrywania. Metody te były już — na mniejszą skalę, ale z bardzo dobrym skutkiem—zastosowane podczas wojny w Gibraltarze, którego rejon nigdy nie ucierpiał od okrętów podwodnych.

Vannevar Bush nie ogranicza się do wyliczania powodów i przesłanek wyższości wolnych ludzi w dziedzinie wynalazczości obronnej — zajmuje się także przykładami wykolejeń i nieudolności, wykazywanych w tych sprawach przez państwa totalitarne: Rosję i Niemcy.

Umiarkowany optymizm Busha można by przypisać zamierzeniom propagandowym książki (która ukazała się w okresie histerii atomowej w Stanach Zjednoczonych, powstałej po ogłoszeniu, że Rosja posiada bomby atomowe), gdyby nie fakt, że do podobnych konkluzji dochodzą autorytety brytyjskie. Prawie jednocześnie ukazała się w Anglii książka Vicemarszałka Lotnictwa *E. J. Kingston McCloughry p.t. ‚War in Three Dimensions'*, w której niebezpieczeństwa przyszłej wojny, choć bynajmniej nie zbagatelizowane, zostały ustawione we właściwej perspektywie.

Zdaniem brytyjskiego marszałka bomba atomowa nie jest bynajmniej bronią absolutną i rozstrzy-

KRONIKA KULTURALNA

WYKŁADY G. MARCELA W WIELKIEJ BRYTANII

Znany filozof francuski Gabriel Marcel, którego przywykło się określać jako przywódcę egzystencjalistów chrześcijańskich, przybył do W. Brytanii celem wygłoszenia szeregu wykładów. Dnia 23 maja miał on odczyt w Institut Français w Londynie, później zaś udał się do Aberdeen, by wygłosić szereg prelekcji w ramach tzw. „Gifford Lectures".

Na łamach „Tabletu" Robert Markus charakteryzuje filozofię Marcela, którą zdaniem jego niezupełnie słusznie zestawia się z filozofią Sartre'a. Podobnie jak św. Tomasz z Akwinu Marcel jest filozofem chrześcijańskim, który nie opiera swego systemu na Objawieniu, lecz na własnych przyrodzonych zdolnościach umysłowych. Zdolności te wszakże ożywiane są pędem ku wierze i rzeczom nadprzyrodzonym.

Marcel jest przeciwny tworzeniu metafizyki drogą koncepcji umysłowych. Żadne koncepcje nie są zdolne wyrazić treści rzeczywistości, która jest znacznie bogatsza. Bogactwo to Marcel określa mianem Tajemnicy Ontologicznej. By to bogactwo choć w części uchwycić, należy zająć postawę duchowej pokory wobec rzeczywistości, przez co rezygnujemy z dążeń do budowania jej wedle naszych własnych kategorii myślowych, albo traktowania jej jako przedmiotu naszych własnych zainteresowań i pragnień.

Dotyczy to także sfery miłości. Sprawdzianem jej jest uznanie wzajemne przez dwoje ludzi, że są istotami o wartości jedynej, celami samymi w sobie, a nie tylko kompleksami różnych funkcji. Określenie to stosuje się również do miłości, jaką człowiek czuje do Boga.

W tym zakresie jednak, zdaniem autora artykułu, poglądy Marcela nasuwają duże wątpliwości. Prowadziłyby one do twierdzenia, że Bóg nie może być wogóle przedmiotem abstrakcyjnego myślenia. Tymczasem obie postawy dadzą się mimo wszystko pogodzić.

RUCH WYDAWNICZY W POLSCE

Prasa krajowa zamieściła trochę informacji o planach wydawniczych na rok bieżący. Obok całej powodzi książek autorów rosyjskich ze wszystkich dziedzin oraz książek wyraźnie lub kryptopropagandowych, przewidziane są wydawnictwa cenne, które warto tu zanotować, gdyż powinny zasilić biblioteki emigracji.

A więc „Czytelnik" kontynuować będzie wydania zbiorowe Tomasza Jeża, J. I. Kraszewskiego i ukończy zapewne zbiorowe wydanie pism Żeromskiego (co zrobią z „Przedwiośniem"?). Ukażą się nowe wydania pism Wilkońskiego, Rodocia-Biernackiego, Fredry i Tetmajera („Z wielkiego dworu"). Z autorów zachodnioeuropejskich „Czytelnik" ma drukować trzy tomy pism Flauberta (m.in. „Salammbo"), Stendhala i Maupassanta, utwory A.France'a, Zoli, Bronte, Fieldinga, Defoe, Dickensa, dużo książek pisarzy czeskich i nowe powieści Amado, Aragona oraz Anny Seghers. Ukażą się dalsze tomy Balzaka i Galsworthego („Saga rodu Forsytów"). W dziale poezji: Petöfi i Eluard.

W dziale historii obok dzieł Siergiejewa i Potiomkina, wyjdą: Ksenofonta — „Anabasis" i Łempickiego „Renesans Polski". Zapowiedziane są polskie dzieła medyczne Tomaszewicza, Gruszeckiej; Pogorzelskiego „Analiza matematyczna", Szefera „Geografia roślin", „Biologia" Pieniążka i in. dzieła naukowe.

W roku 1950 kontynuowane będzie wydanie zbiorowe dzieł Adama Mickiewicza — serie II — V.; dojdzie szereg tomów do zbiorowego wydania dzieł B. Prusa (wśród nich 10 tomów tygodniowych „Kronik"), znacznie ma się posunąć naprzód wydanie zbiorowe pism E. Orzeszkowej pod redakcją prof. J. Krzyżanowskiego oraz wyjdą dalsze tomy pism wybranych A. Dygasińskiego i St. Witkiewicza. Zapoczątkowane będzie wydanie dzieł G. Zapolskiej. Dalsze wydanie dzieł A. Struga nie jest pewne.

Państwowy Instytut Wydawniczy, druga obok „Czytelnika" wielka instytucja nakładowa ma zakończyć w rb. pełne wydanie dzieł Sienkiewicza i rozpocząć wydanie dzieł Al. Fredry w opracowaniu prof. Pigonia, z

WYCH KSIĄŻEK

gającą. Z chwilą, gdy przestała ona być monopolem jednej z potencjalnych stron walczących, przed jej faktycznym użyciem chroni — przynajmniej do pewnego stopnia — obawa przed represaliami. Ta obawa uchroniła nas w ostatniej wojnie przed zastosowaniem gazów trujących. Podobnie może być z broniami atomowymi.

Omawianie źródłowego dzieła wojskowego wicemarszałka Kingston-McCloughry przekracza ramy tego przeglądu i przypuszczalnie także zakres zainteresowań przeciętnego czytelnika ŻYCIA. Dla specjalistów i osób interesujących się wojną — a także dla całości obrazu — dodaję, że ostatnio wyszły również inne dzieła z dziedziny wojskowości: ‚*The Soviet Air Force*‘ *by Asher Lee* (f. Duckworth, cena 8/6) i „*Secret Forces*“, dzieło napisane przez b. szefa operacji tajnych służb gen. de Gaulle‘a *F. O. Miksche..* Ta ostatnia praca, stanowiąca studium akademickie metod i techniki walk podziemnych w krajach okupowanych, może zainteresować każdego inteligentnego żołnierza A. K. Książka — jeśli sądzić z recenzji— posiada paważne wady.

St. Pał.

KSIĄŻKI AMERYKAŃSKIE
OD LENINA DO TRUMANA

ANGLOSASÓW od dawna pasjonuje problem, jaka jest naprawdę rola historyczna wielkiej jednostki ludzkiej: ile zawdzięcza ona okolicznościom, a ile sobie samej. W Nowym Yorku (wyd. John Day) ukazała się książka profesora filozofii na tamtejszym uniwersytecie, S i d n e y H o o k‘ a pt. „T h e H e r o i n H i s t o r y“, w której rozwinięta została, podobna do Carlyle‘owskiej, teza o decydującym znaczeniu człowieka genialnego dla pewnego rozwoju wypadków. Jako przykład służy Hookowi postać Lenina. W trzech decydujących momentach przed rewolucją październikową Lenin był w swej opinii o sytuacji zrazu całkowicie osamotniony, ale w każdym z trzech wypadków zdołał ją narzucić swoim towarzyszom i popchnąć ich do działania, które przed tym wydawało im się nie wskazane. W kwietniu 1917 r., nazajutrz po powrocie do Rosji, zażądał Lenin zerwania z rządem Kiereńskiego i usunięcia go w drodze zamachu stanu. Nawet Stalin przyznał później, że był temu planowi przeciwny i że trwał w błędnym przekonaniu o konieczności współpracy z Kiereńskim.

W lipcu tegoż roku Lenin oparł się zdecydowanie przedwczesnemu wybuchowi powstania, który zdawał się nieuchronny. Gdyby nie on, organizacja bolszewicka zostałaby wtedy krwawo zlikwidowana. Wreszcie w październiku Lenin z dnia na dzień przyspieszył wybuch rewolucji uniemożliwiając Kiereńskiemu sprowadzenie do stolicy wojska, któreby bolszewików rozbiło. Ale i po objęciu władzy niepopularne zrazu decyzje Lenina wpływają rozstrzygająco na przebieg wypadków. Wbrew woli całego komitetu centralnego partii przeforsował on pokój z Niemcami, przez co zapobiegł wkroczeniu Niemców do Moskwy i Petersburga, a tym samym rozproszeniu bolszewików po całej Rosji, jeśli nie wymordowaniu ich przywódców.

Sidney Hook rozważa następnie, coby się było stało, gdyby Lenin nie był wywołał rewolucji bolszewickiej i gdyby nie był utrzymał bolszewików przy władzy. Najprawdopodobniej światowy kryzys gospodarczy, który rozpoczął się w r. 1928, byłby wybuchnął później, bo Rosja stanowiłaby część rynku światowego i wpływałaby na kryzys łagodząco, zainiast go zaostrzać, jak się to stało dzięki bolszewikom. Partie faszystowskie zapewne istniałyby jako sekty polityczne, ale nie stałyby się ruchami masowymi. Partie socjaldemokratyczne byłyby zapewne utworzyły po wojnie międzynarodówkę, która wyciągnęłaby naukę z błędów, popełnionych w r. 1914, i byłaby dość silna, by zapobiec rozwiązywaniu problemów ekonomicznych przy pomocy wojny.

Jeżeli plany Lenina nigdy nie trafiały odrazu do przekonania przywódcom partii i nie były popularne w masach bolszewickich, nie znaczy to, że były one fantastyczne. Lenin zawsze wybierał możliwości niedostrzegalne dla innych i trudne do wykonania, ale wybierał m o ż l i w o ś c i. Miał trzeźwiejszy sąd niż inni, więcej odwagi i wiary w siebie. Gdy brał jakąś możliwość na oko, tj. gdy zdecydował się w wyborze celu, szedł do niego prosto i bez wahań, a wahania jego towarzyszy nigdy go nie dezorientowały. Powstaje więc pytanie, jaki to był umysł i charakter, który tej postaci zapewnił taką wyjątkowość. „Nie nęciły go rozrywki, a niepraktyczna rozkosz bezinteresownego myślenia nie pociągała go“ — pisze Hook. W gruncie rzeczy, wszystkie problemy były dla niego problemami politycznymi. Był człowiekiem jednej idei: zdobycia i utrzymania władzy. Partia nie była dla niego reprezentacją interesów proletariatu, ale armią zawodowych rewolucjonistów. Sądził, że partia musi być przeświadczona, iż lepiej rozumie interesy mas niż one same.

Chociaż wszystkich przeciwników swej polityki poza partią traktował jako wrogów nie tylko partii ale wręcz ludzkości, cofnął się Lenin przed konsekwencją, jaką z tej zasady wyciągnął później Stalin i zamiast tępić swych przeciwników w łonie partii, bardzo zręcznie i nie szczędząc wysiłku zdobywał ich dla swoich poglądów. „Brał na siebie odpowiedzialność p r a k t y c z n ą (tj. konsekwencje swych decyzji); od odpowiedzialności m o r a l n e j (tj. oceny moralnej swego działania) czuł się przez historię zwolniony... Nie żądał dla siebie niczego, z wyjątkiem prawa rozstrzygania o losach ludzkości‘. — pisze Hook, a Trocki powiedział o nim: „Jego rządza władzy wyrastała z niesłychanej pewności i poprawności jego zasad i, jeśli chcecie, z zupełnej niezdolności (dla polityka zbawiennej) patrzenia na rzeczy z punktu widzenia przeciwników“.

Hook bardzo szczegółowo uzasadnia swoje tezy, które streszczają się w twierdzeniu, że poza pierwszą wojną światową rewolucja październikowa jest jak dotąd najpłodniejszym w skutki wydarzeniem dwudziestego wieku; że rewolucja ta wcale nie była nieunikniona, tj. że stała się rzeczywistością tylko dzięki Leninowi, i bez niego byłaby się załamała, a wreszcie, że życie kulturalne, polityczne i częściowo także gospodarcze całego świata byłoby bez tej rewolucji wzięło inny obrót.

DAWNY trockista amerykański J a m e s B u r n h a m, którego socjologia (wyłożona w książce pt. „The Managerial Revolution“) tak fatalnie wpłynęła na politykę zagraniczną Roosevelta, i który trzy lata temu usiłował natchnąć Amerykanów ambicjami imperialistycznymi (w książce pt. „The Struggle for the World“), napisał nową książkę pt. „T h e C o m i n g D e f e a t o f C o m m u n i s m“ (wyd. John Day, Nowy York).Szkicuje w niej Burnham tym razem strategię zimnej wojny. Znamy do tej pory tylko rozdział pt. „Środki zimnej wojny“, który przedrukował wydawany przez Amerykanów w Berlinie luksusowy miesięcznik „Der Monat“.

Dla Burnhama głównym celem polityki Trumana jest „obalenie potęgi komunistycznej“. W rozdziale, o którym mowa, analizuje Burnham osiągnięcia i możliwości propagandy jako broni w zimnej wojnie. Zarzuca jej przede wszystkim, że jest robiona bez przekonania, bezmyślnie i na zbyt małą skalę. Przypomina mu ona człowieka, który by kupił lodówkę na raty i po kwartale przestał ją spłacać, tracąc w ten sposób i to, co już zapłacił i samą lodówkę. Stawia za wzór przemysł, który wydaje na reklamę ogromne sumy. W czasie swego niedawnego pobytu w Europie Burnham stwierdził, że Europa, której „Plan Marshalla“ „uratował życie“, nie wie o tym planie nic poza tym, co o nim głoszą komuniści. Ten typ propagandy trzeba naśladować. Propaganda nigdy nie powinna polegać na obronie, bo wtedy jest w gruncie rzeczy kierowana przez atakującego przeciwnika. Propaganda musi być ofensywna. Należy ją skoncentrować na kilku wybranych tematach i tak długo je wbijać ludziom w głowy, aż jej tezy się przyjmą. W tym celu trzeba planować całe kampanie propagandowe. Tylko służba czysto informacyjna może się rozpraszać; jej tematy dyktowane są przez wydarzenia.

Propaganda winna być dostosowana do zainteresowań i poziomu intelektualnego odbiorców. Trzeba też się zawsze zastanowić, do kogo właściwie dociera. Burnham ostro krytykuje „Głos Ameryki“ w języku rosyjskim, którego kierownicy nie pamiętają, że „lud rosyjski“, do którego się zwracają, wcale ich nie może słuchać. Na detektory nie można złapać „Głosu Ameryki“, a oficjalne głośniki napewno go nie transmitują. Dobre odbiorniki mają w Rosji tylko funkcjonariusze państwowi i partyjni, których nie można traktować jako kretynów, jeśli się nie chce osiągnąć skutków antypropagandowych. Dla nich trzeba nadawać audycje, w których dyskutowałoby się poważnie aktualne i dla partyjników problemy, np. Titoizm, niebezpieczeństwo wojny, sprzeczności między teorią a praktyką komunistyczna, sprawę następstwa po Stalinie itd.

Jak zwykle Burnham plącze się, gdy próbuje filozofować. Tak jest np. z zagadnieniem prawdy w propagandzie. „Sama w sobie propaganda nie jest (moralnie) ani dobra, ani zła, ani prawdziwa ani nie prawdziwa. Propaganda może kłamać i rzeczywiście często kłamie; może ona jednak także mówić prawdę lub posługiwać się czysto intuicyjnie symbolami, które w gruncie rzeczy nie są ani prawdziwe ani nieprawdziwe“. Ten trochę wstydliwy relatywizm moralny i poznawczy staje się zbędny, gdy określenie propagandy następuje nie przez definicję, ale pośrednio: „Rola propagandy wzrosła dziś tak potwornie“ m.in. na skutek „zaniku pewnych tradycyjnych przedmiotów wiary, co sprawiło, że dusza ludzka łatwiej ulega wpływom zewnętrznym“. To są „realia“, o których propagandzista nie musi mówić „i tak i nie“; może poprzestać na tym, by je zaakceptować. Gdy jednak wypływa temat konkretny, nałóg szefa reklamy bierze górę. „Plan Marshalla jest doskonałą podstawą uczciwej (!), szczerej (!) a zarazem niezmiernie popłatnej propagandy“. Jak tu mówić prawdę o propagandzie, gdy samo mówienie o niej już jest propagandą!

Propaganda powinna być ambitna. Potrzebny nam jest — powiada Burnham — „program informacyjny, który chowałby w zanadrzu coś dla każdego gustu, od karykatury do traktatu filozoficznego‘.‘ Mimo to Burnham nie podziela opinii, że Ameryka powinna móc przeciwstawić komunizmowi jakąś własną ideologię. Myśleć tak, to poddawać się „kompleksowi niższości“, który chcieliby Amerykanom wpoić komuniści. Co prawda, Burnham nie mówi o ideologii t o u t c o u r t, ale o ideologii „tego samego typu“, a więc o ideologii totalistycznej, co pozwala mu rozwodzić się szeroko nad tym, że „takiej ideologii“ Ameryce wcale nie potrzeba. Mistrz propagandy pragnie nas tu zapewne pouczyć, jakie chwyty się stosuje, gdy się wie co to jest propaganda. Co więcej, propaganda wcale nie wymaga „pozytywnego“ programu. „Ludzie naogół lepiej wiedzą, czego nie chcą, niż czego chcą“.

Tu następuje mała deklaracja ideowa. „Nie chcemy — my, to znaczy większość wszystkich ludzi — by świat został opanowany przez bandę zwariowanych specjalistów od obejmowania władzy. Nie chcemy, by całe narody wbrew swej woli były przy pomocy korupcji, kłamstwa i przemocy brane w niewolę...“ etc. etc. „Ale wiedząc czego nie chcemy, wiemy także — nie w szczegółach, lecz w zasadzie — czego chcemy“. Tu czytamy m.in.: „Wierzymy, że jednostce przysługuje o wiele wyższa wartość moralna niż jakiemukolwiek ziemskiemu celowi... Ze szczególną siłą pragniemy wolności wszystkich narodów, które poddane są komunistycznej tyranii...“ „Nie mamy — konkluduje Burnham — powodu wątpić, że nasza propaganda potrafi poderwać ludzi do czynu“.

Burnham zdaje się sądzić, że narody opanowane przez „komunistyczną tyranię“ same się jej poddały, bo niezbyt dobrze wiedziały, co to jest komunizm i Rosja. „Zwolennicy dzisiejszych ruchów rewolucyjnych w Chinach, Indiach, Azji płd.-wschodniej i Indonezji nie wiedzą prawie zupełnie czym na prawdę są Sowiety i komunizm. Gdyby wiedzieli więcej, zapewne nie garnęliby się tak masowo pod opiekę potęgi, która z całą pewnością zniszczy wszystko do czego dążą... Dlatego powinniśmy ogłosić prawdę, i to całą prawdę, bez dyplomatycznych obsłonek. Powinniśmy uczyć się od komunistów...“

AMERYKANIE uczą się. Dla lepszego zrozumienia „dyplomacji totalnej“ Achesona, „strategii totalnej“ gen. Bradleya i środków, którymi Burnham pragnąłby wygrać zimną wojnę, należy zapoznać się z modną dziś wśród ludzi waszyngtońskiego „brains trustu“ teorią o likwidacji dyktatury bez wojny gorącej. Wyłożył ją A. H. L e i g h t o n w książce pt. „H u m a n r e l a t i o n s i n a c h a n g i n g w o r l d“. Jest ona pomyślana jako paralela do sowieckiej teorii o „wewnętrznych sprzecznościach państw burżuazyjnych“, które w myśl pobożnych życzeń bolszewików mają same przez się doprowadzić do rozkładu społeczności kapitalistycznej. Należy przy tej okazji zwrócić uwagę na pewien automatyzm, jaki opanował umysłowość amerykańską pod wpływem konkurencji z Rosją na terenie podzielonej Europy. Do paraleli między republiką Niemiec wschodnich a republiką Niemiec zachodnich dodano paralelę między Kominformem a Radą Atlantycką. Obecnie analogie stają się coraz bardziej niewolnicze. Burnham pragnie, by Ameryka posiadała za żelazną kurtyną taką samą piątą kolumnę jaką Rosja rozporządza na Zachodzie w postaci partii komunistycznych, a Leighton próbuje tworzyć analogię w zakresie samej doktryny. Tylko patrzeć rychło poczęstują nas sloganem o „komunistycznym okrążeniu Ameryki“!

Leighton wychodzi z założenia o psychologicznych źródłach więzi społecznej. Zadanie strategii psychologicznej (czyli totalnej) polega na stwarzaniu w psychice wrogiego społeczeństwa takich napięć wewnętrznych, które wywołałyby kryzys, a w rezultacie apatię. W stosunku do Rosji cel ma być osiągnięty przez przedłużenie zimnej wojny, której napięcie doprowadzi w końcu do rozkładu społeczności sowieckiej i tak pełnej sprzeczności wewnętrznych. Modelem takiej strategii psychologicznej jest hitlerowska „wojna nerwów“. Nawet wojna gorąca, jeżeli jest totalna, tj. jeżeli nie oszczędza miast ludności cywilnej, jest właściwie tylko formą wojny psychologicznej. W wojnie totalnej zniszczenie „żywych sił przeciwnika“ a więc jego sił zbrojnych przestaje być celem głównym strategii. Celem strategii totalnej jest zniszczenie „moralne“ przeciwnika.

Lecz zimna wojna wywołuje napięcia także w społeczeństwach demokratycznych. Muszą one być do nich przystosowane. Należy się więc wystrzegać kampanii propagandowych, które burzyłyby równowagę psychiczną własnego społeczeństwa. Do takich niebezpiecznych kampanii autor zalicza nagonkę na szpiegów, rozdmuchiwanie skandali oraz czystki. W wojnie psychologicznej największe szanse zwycięstwa ma społeczeństwo bardziej zrównoważone psychicznie, „uczciwiej“ rządzone, mocniej zjednoczone i bardziej tolerancyjne. Odporność społeczeństwa na napięcia zimnej wojny rośnie, im większa jest zgodność najgłębszych przekonań, im mocniejsza wiara, im wyraźniejszy wspólny cel, im większe zaufanie do rządzących i im większe wzajemne zaufanie ludzi do siebie.

Jednym z najbardziej oczywistych objawów zwichnięcia równowagi wewnętrznej społeczeństwa jest „stała agresywność“. Przedłużenie tego stanu nieuchronnie prowadzi do psychicznego załamania się. Takiego stanu trzeba unikać u siebie, ale trzeba starać się go wywołać u przeciwnika. Teraz przynajmniej wiemy, czego oczekiwać w najbliższym czasie. Będziemy wpędzać się nawzajem w obłęd. Kto dłużej wytrzyma... później się załamie.

j.m.r.

komentarzem wstępnym K. Wyki. P.I.W. rozpocznie prócz tego wydawanie „Biblioteki klasyków obcych i polskich“, w której znajdą się m.in. jednotomowe wybory pism Kochanowskiego, Krasickiego, Mickiewicza, Słowackiego i Norwida.

Zainicjowana w roku ubiegłym biblioteka utworów dramatycznych (wydano tom komedii A. Musseta), powiększy się o dzieła Szekspira w nowym przekładzie Brandstaettera („Hamlet“), Gałczyńskiego, Gogolewskiej, Miłosza i Iwaszkiewicza. Wyjdą tragedie Ajschylosa, komedie Arystofanesa, dramaty Gorkiego, sztuki Ostrowskiego, Suchowo-Kobylina, Shawa i Brechta.

Zupełną nowością będzie seria pomnikowych monografii plastycznych pt. „Mistrzowie“ i druga, skromniejsza pt. „Mistrzowie dla domu, szkoły i świetlicy“. Znajdą się w tych seriach dobrze ilustrowane, z planszami barwnymi, monografie Wita Stwosza, Michałowskiego, Jana Matejki, Gierymskiego (nie podano którego) oraz oddzielna monografia najnowszego malarstwa „tematowego“ (taką nazwę daje prasa krajowa).Ma być także wydany „Słownik sztuk plastycznych“ pod red. prof.Lorentza w opracowaniu Instytutu Historii Sztuki Uniw. Warsz. i Państwowego Instytutu Sztuki.

NOWE WYDANIA SŁOWACKIEGO

W uzupełnieniu naszej notatki w ŻYCIU z dnia 16 kwietnia b.r. Nr. 16 (147) o wydaniu dzieł Słowackiego przez „Ossolineum“ — Zakład Narodowy im Ossolińskich (mający przed wojną siedzibę we Lwowie, obecnie w Wrocławiu), w ramach Roku Słowackiego, podajemy trochę szczegółów o innych wydaniach dzieł autora „Beniowskiego“.

W „Bibliotece Narodowej“, wydawanej obecnie staraniem „Ossolineum“, ukazały się: „Balladyna“ i „Beniowski“ w opracowaniu prof. Juliusza Kleinera, „Kordian“ i „Maria Stuart“ — opr. prof. J. Ujejski, „Lilia Weneda“ — opr. dr M. Janik, „Powieści poetyckie“ — opr. prof. M. Kridl, „Sen srebrny Salomei“ — prof. J. Turowski i „Trzy poematy“ — J. Maurer.

W „Bibliotece Arcydzieł Poezji i Prozy“ pod redakcją prof. Stanisława Pigonia, a nakładem księgarni M. Kota w Krakowie, ukazały się wzorowo opracowane: „Balladyna“, „Anhelli“, „Beniowski“, „Lilla Weneda“, „Wybór liryk i listów“, „Kordian“, „Jan Bielecki“ i „Ojciec zadżumionych“.

W „Bibliotece Pisarzy Polskich i Obcych“ zostały wydane następujące utwory: „Anhelli“ w opracowaniu Z. J. Jakubowskiego, „Beniowski“ i „Lilla Weneda“ — opr. prof. J. Saloni, „Balladyna“ — opr. J. Furmanik i „Kordian“ — opr. prof. Boleski.

Paweł Hertz opracowuje wybór listów Słowackiego do matki.

Dla informacji pragniemy dodać, że uroczystości Roku Słowackiego rozpoczęły się dnia 1 marca i mają potrwać do 15 czerwca roku bieżącego.

PLASTYKA

W Łodzi została otwarta wystawa pośmiertna znanego malarza Feliksa Kowarskiego.

* * *

Ukazał się pierwszy numer miesięcznika „Przegląd Artystyczny“, organu Związku Zawodowego Artystów Plastyków. Nowy „Przegląd Artystyczny“ — jak informuje „Tygodnik Powszechny“ — przepojony jest ideą realizmu socjalistycznego w plastyce oraz walki z formalizmem.

NOWE MUZEUM

W Warszawie powstało Muzeum Postępu Technicznego, które gromadzi modele ciekawszych wynalazków i usprawnień technicznych z dziedziny gospodarki drzewnej i leśnictwa. Większość eksponatów stanowią wynalazki i usprawnienia dokonane przez robotników zakładów podległych Centralnemu Związkowi Lasów Państwowych i Centralnemu Zarządowi Przemysłu Leśnego.

Spośród eksponatów, zebranych w Muzeum, na uwagę zasługują modele narzędzi do mechanicznej uprawy gleby leśnej, przyrządów do wyliczania kubatury drewna, plecaka narzędziowego dla robotnika leśnego, specjalnego noża do żywicowania drzew itp. Bardzo ciekawie przedstawia się model mechanicznej windy do załadunku drewna oraz makieta maszyny do gięcia elementów mebli.

CZY PAMIĘTASZ
O
KATOLICKICH
NAGRODACH
LITERACKICH?

JĘDRZEJ GIERTYCH

DYSKUSJE

ODPOWIEDŹ NA PROTEST

W nr. 17/148 ŻYCIA umieściliśmy dyskusyjny artykuł Jędrzeja Giertycha p. t. „Problemat zabójstwa" poruszający ważne ale bardzo trudne zagadnienie wpływu, jaki wywiera na człowieka podziemna walka z okupantem. Autor mówi o konkretnym wypadku tego zagadnienia: wpływie podziemnej walki polskiej w okresie okupacji hitlerowskiej. Artykuł J. Giertycha wywołał silny protest Zofii Kossak (nr. 21/22 - 151/3). Dziś autor „Problematu zabójstwa" ponownie zabiera głos.

Pokłosie listów do Redakcji związanej z dyskusją i jej problemem zamieścimy w numerze następnym.

RED.

PRZYZNAJĘ, że jestem zdziwiony reakcją, jaką mój artykuł pt. „Problemat zabójstwa", napisany na marginesie dyskusji o sztuce Zawieyskiego, wywołał u pisarki tak dojrzałej i o tak szerokim widnokręgu, jaką jest p. Zofia Kossak. („Krzywdząca ocena", ŻYCIE, No. 21-2/152-3). Uczuciowe wystąpienie znakomitej autorki, pełne wzburzenia i zastanawiająco jednostronne, utwierdza mnie w przeświadczeniu, że do spokojnej i trzeźwej oceny zdarzeń o tak wielkim napięciu uczuciowym, jak dzieje kraju pod okupacją, najmniej są zdolni ci, co w zdarzeniach tych brali bezpośredni udział i którym przeżyte nastroje zaciemniają sąd. To znaczy, że do oceny tych zdarzeń potrzebna jest perspektywa, bądź czasu, którą rozporządzać kiedyś będzie wyrok historii, bądź przestrzeni, którą daje fakt nieobecności.

Wystąpienie p. Kossak zupełnie się z treścią mego artykułu rozmija. Z grubsza, możnaby całą kontrowersję streścić w dwuch tezach. Ja twierdzę, że zaoczne wyrokowanie sądów podziemnych było nieprawidłowym wymiarem sprawiedliwości, demoralizującym sędziów, katów i całe społeczeństwo. A p. Kossak odpowiada mi na to, że żołnierze A.K., to byli bohaterowie. Otóż ja wcale o tym nie wątpię, że żołnierze A.K. to byli bohaterowie. Ale co to ma wspólnego z moją tezą?

Odpowiadając na wywody p. Kossak, muszę zacząć od wyjaśnienia całego szeregu nieporozumień.

P. Kossak odpiera moją tezę wykładem, czym było „państwo podziemne" pod okupacją. Jest to wyważanie drzwi otwartych. Czym było to państwo podziemne, doskonale wiem i doceniam. Poświęciłem mu cały, obszerny rozdział w mej książce „Pół wieku polskiej polityki.'. Na str. 136 tej książki, wydrukowanej trzy lata temu, znaleźć można słowa niemal identyczne z tym, co teraz pisze p. Kossak: „Owo podziemne państwo polskie pod okupacją niemiecką, które miało swój sejm i swoje ministerstwa, swoje uniwersytety i szkoły powszechne, swoje sądy i policję, swoją administrację i środki komunikacyjne, swoje gazety i drukarnie, swoje wojska i fabryki broni, swoje szpitale i swoją akcję dyplomatyczną (np. w krajach naddunajskich), swoje podatki i swoje emerytury, — owo państwo podziemne jest czymś zupełnie jedynym w swoim rodzaju w historii; zasługuje ono na to, by zostało kiedyś przez badania historyczne szczegółowo oświetlone, zanalizowane i opisane". — Państwo podziemne było zjawiskiem imponującym i wspaniale świadczącym o siłach żywotnych naszego narodu. Ale stwierdzenie tego faktu nie może nas powstrzymać od stwierdzenia zarazem, że życie tego państwa podziemnego miało także swoje ciemne strony, które ważą na naszej teraźniejszości i przyszłości w sposób groźny.

Pani Kossak tłómaczy mi, że „czeska" metoda „spokoju, bierności, przetrwania" byłaby dała ujemne skutki. Jest to znowu wyważanie drzwi otwartych. Jestem zdecydowanym przeciwnikiem metody czeskiej. Dałem temu niejednokrotnie wyraz, zarówno w wymienionej wyżej książce, — jak w rozprawce o Finlandii, ogłoszonej w jednej z moich broszur, jak gdzie indziej. Uważam. że ruch podziemny był potrzebny. I A.K. było potrzebne. I nawet — w pewnym ściśle określonym zakresie — czynne wystąpienia A.K. były potrzebne i nieuniknione. Ale odrzucanie metody czeskiej nie oznacza jeszcze przyjęcia i zaaprobowania wszystkiego, co było metodą polskiego ruchu podziemnego.

Pani Kossak oburza się na to, że napisałem, iż wyroki sądów podziemnych wykonywano „w piwnicy, w kilku na jednego" i odpowiada, że A.K. walczyła z Niemcami „nie w kilku na jednego, lecz w kilku na stu". Ja nie o walce z Niemcami pisałem, tylko o wykonywaniu wyroków na drobnych płotkach polskiej zdrady, na wiejskich denuncjantach, na przedmiejskich szpiclach. To całkiem inna sprawa.

Pani Kossak protestuje przeciwko mojemu twierdzeniu, że również i w walce z Niemcami nie zawsze wszystko było z naszej strony w porządku i że uchybienia te — aczkolwiek będące niczym w porównaniu do niemieckich zbrodni. popełnianych na nas — są ubolewania godne, gdyż „noblesse oblige" i gdyż jako naród cywilizowany musimy stosować do swoich czynów inną miarę, aniżeli hitlerowcy. Pani Kossak zapewnia mnie, że „A.K. była rycerska" i że „rozumując w ten sposób (jak ja), należy każdego żołnierza nazwać skrytobójcą, dążeniem bowiem jego jest zawsze osłonić własne stanowisko". Otóż ja doskonale o tym wiem, że A.K. była rycerska i prowadziła działania wojenne zgodnie z prawem międzynarodowym. Ale wiem także, że były uchybienia. I uważam, że o uchybieniach tych — w imię moralnego zdrowia naszego narodu — mamy obowiązek mówić. a nie mamy prawa ich przemilczać. Prawo międzynarodowe jest prawem; ma swoje ścisłe zasady, określające co wolno, a czego nie wolno. Żołnierz ma prawo w pewien sposób osłaniać własne stanowisko, a w inny sposób nie ma. Naprzykład na morzu, okręt-pułapka, polujący na nieprzyjacielskie łodzie podwodne, ma prawo udawać okręt handlowy, ma prawo nawet wywiesić banderę neutralną. Ale w chwili otwarcia ognia musi wywiesić swą własną banderę wojenną, to znaczy zrzucić maskę. Istnieją także reguły, określające zasady działań partyzanckich.

Ludność cywilna, chwytająca za broń, musi się stosować do trzech podstawowych wymogów. Musi stosować się do praw wojennych (a więc np. nie mordować jeńców). Musi broń nosić jawnie (to znaczy karabin na ramieniu, a nie rewolwer w kieszeni). Oraz musi nosić jeśli nie mundury, to przynajmniej odznaki (opaski, kokardy). świadczące o przynależności do zorganizowanych oddziałów. Jest znowu wyważaniem drzwi otwartych zapewnianie, że zarówno leśne oddziały A.K., jak wojska powstańcze w Warszawie były z prawem międzynarodowym w zgodzie. Natomiast żadne rozumowania nie wykażą, że jest zgodne z prawem międzynarodowym np. podstępne smarowanie iperytem siodełka niemieckiego motocyklisty. Jest ono takim samym bezprawiem, jak podanie mu w zupie trucizny. Również i rzucanie bomb i zamachy rewolwerowe, czy „rozpylaczowe", wykonywane przez ludzi w ubraniach cywilnych, nie są operacjami wojskowymi. Są one uświęcone tradycjami rewolucyjnymi, ale nie są uświęcone obyczajami żołnierskimi. Sądzę, że dobrze by było, gdybyśmy tradycyj rewolucyjnych nie podtrzymywali, a prowadzili nasze wojny po żołniersku.

Wrawdzie rozumiem. że pewna ograniczona ilość takich zamachów była nie do uniknięcia, że w wojnie takiej jak ostatnia, gdy wszyscy prawo międzynarodowe łamali, nie można było w interpretowaniu reguł tego prawa wpadać w doktrynerską, niezgodną z wymogami życia przesadę, oraz wreszcie, że trzeba rozróżniać między czynami, których prawo międzynarodowe zabrania, a czynami, których tylko nie chroni. Ale obstaję przy twierdzeniu, że zamachy, jako zjawisko masowe, były i niepotrzebne i szkodliwe, nie tylko dlatego, że ściągały represje. ale także i dlatego, że demoralizowały wykonawców i społeczeństwo.

Pani Kossak przypisuje moje poglądy temu, że nie jestem o przebiegu walki podziemnej dostatecznie poinformowany i że ukształtowałem sobie swój sąd wedle obserwacyj, porobionych w czasie, gdy nadużycia przyćmiły główny nurt: gdy „masowo wyroili się szabrownicy" i gdy „las partyzancki przekształcił się w las bandycki". Muszę na to odpowiedzieć, że o przebiegu walki podziemnej jestem poinformowany dobrze. Tak się złożyło, że byłem poinformowany dobrze już siedząc w obozach jeńców w Niemczech. Różnie różnym ludziom się warunki układały. Mnie ułożyły się tak, że wiedziałem stosunkowo więcej, niż inni. Z pewnością wiem dziś o życiu Polski podziemnej nieskończenie więcej i nieskończenie ściślej, niż szeroki ogół emigracji.

Nie, proszę Pani. Ja nie mówię o nadużyciach. Nadużycia nie zasłaniają mi głównej treści zjawiska. Ja właśnie o tej treści mówię.

Pani Kossak pisze, że ci. co działali w ruchu podziemnym, nie decydowali sami o kierunku swojej akcji, ale stosowali się do dyrektyw rządu. Otóż w tym właśnie rzecz: o dyrektywy czynników kierujących mi chodzi. Abstrahuję tu w tej chwili od tego, czy naprawdę rzeczą decydującą były ramowe dyrektywy rządu emigracyjnego, czy też forma, jaką wykonaniu tych dyrektyw nadano w decyzjach wysokich i najwyższych szczebli organizacji podziemnych w kraju. Punkt ciężkości leży nie w tych, co wykonywali, ale w tych, co wydawali rozkazy. Błędy wykonawców są rzeczą zarówno nieuniknioną, jak mniej ważną, bo w skutkach ograniczoną. Ale błędy tych, co kierują, mają skutki ogromne, bo wywierają wpływ na czyny i postawę licznych rzesz podkomendnych. a nawet całego narodu. Odchylenie karabina o drobny ułamek milimetra odsunie pocisk o setki metrów od celu; napozór drobna różnica w instrukcji rządu, czy dowódcy, może spowodować skutki, wypaczające postawę moralną całego społeczeństwa.

Nigdy nie mam zwyczaju oskarżać podkomendnych za winy wodzów. We wszystkim, co kiedykolwiek pisałem o popełnianych przez nas błędach, — także o błędach tych, co odpowiedzialni są za powstania 1830 i 1863 roku, — zawsze wodzów od podkomendnych odróżniałem. Nie inne jest moje stanowisko i wobec A.K. Za błędy przede wszystkim wodzów winić należy. Zadaniem żołnierzy jest słuchać i wykonywać rozkazy. Żołnierz ma tylko jeden obowiązek: dobrze się bić. Jeśli dobrze się bije — zasługuje na najwyższą pochwałę i z dobrym imieniem przechodzi do historii. Ale od wodza, czy rządu wymaga się czegoś więcej. Wymaga się — o ile możności — zwycięstwa. Wymaga się niepopełniania wojskowych i politycznych błędów. Wymaga się nie robienia niczego, co zamiast pożytku, mogłoby spowodować szkodę. To nie jest żaden argument, że: „nie decydowaliśmy sami o sobie". Ja nie mówię o tych. co spełniali rozkazy. Ja mówię o tych, co decydowali. Decydowali o sobie i o innych.

Krwi przelano w Polsce za dużo. Podtrzymuję to. I podtrzymuję twierdzenie, że wyroki sądów podziemnych, wydawane z pominięciem elementarnej zasady nowoczesnego wymiaru sprawiedliwości, że trzeba oskarżonego wysłuchać, zdemoralizowały zarówno tych, co te wyroki wydawali i wykonywali, jak i całe społeczeństwo, oraz obniżyły w narodzie polskim poczucie prawa, pociągając za sobą skutki w postaci zbałkanizowania naszego życia i zdziczenia.

Wyjątkowe warunki pociągają za sobą konieczność stosowania wyjątkowych środków. W artykule moim stwierdziłem, że w pojedyńczym, odosobnionym wypadku wydanie wyroku zaocznego mogło być konieczne. Sam w sobie, wyrok taki, wydany przez prawowite władze państwowe. nie musi być rzeczą bezwględnie niedopuszczalną moralnie. Ale tu nie chodzi o odosobniony wypadek, czy odosobnione wypadki. Wydawanie zaocznych wyroków śmierci stało się w Polsce pod okupacją zjawiskiem masowym. Tego żadne względy nie usprawiedliwiają. Taki system wymiaru sprawiedliwości jest z ustrojem społeczeństwa cywilizowanego i chrześcijańskiego nie do pogodzenia. Nawet w czasie takiej wojny, jak ostatnia.

Czymże p. Kossak ten system uzasadnia? Ma ona tylko dwa argumenty, poza stwierdzeniem, że ocena ówczesnego społeczeństwa była od mojej poprostu „odmienna". P. Kossak pisze, że zaoczne wyroki sądów podziemnych „sprawiały zadowolenie, podnosiły na duchu". Oraz, że zaspakajały „wrodzone łaknienie sprawiedliwości" w społeczeństwie.

Oba argumenty są nie do utrzymania. Zadaniem wymiaru sprawiedliwości nie jest sprawianie komukolwiek zadowolenia, ani podnoszenie kogokolwiek na duchu. I jedno i drugie może być ubocznym, pożądanym skutkiem sprawiedliwości, nie jest jednak jej celem. Nie można naruszać elementarnych zasad wymiaru sprawiedliwości na to tylko, by podnosić społeczeństwo na duchu. Cena, jaką się tu za osiągniętą korzyść płaci, jest zbyt wielka. Co zaś do owego „wrodzonego łaknienia sprawiedliwości", to odpowiedzieć na to można, że to samo łaknienie jest motywem korsykańskiej vendetty, ale to nie racja, aby vendettę można było tolerować. Wrodzone łaknienie sprawiedliwości polskiego społeczeństwa byłoby o wiele lepiej zaspokojone sprawiedliwymi wyrokami po wojnie. Nawiasowo mówiąc, można być pewnym, że najbardziej surowy sąd. wyrokujący po wojnie, nie wydałby wyroków śmierci w bardzo wielu wypadkach, w których sądy podziemne je wydały. Wyroki sądów podziemnych, to nie były akty wymiaru sprawiedliwości w ścisłym znaczeniu tego słowa, chociaż nawet wydawali je prawnicy; to były akty odstraszającego teroru. Jako takie, mogły być w odosobnionych wypadkach uzasadnione. Jako system, stosowany ogólnie i bez wyjątku, były potwornością.

A jakąż furtkę otwarły dla wszelkiej samowoli! Owo „wrodzone łaknienie sprawiedliwości", ukształtowane na tym systemie jej wymiaru, pociągnęło za sobą wytworzenie się w szerokich masach społeczeństwa przeświadczenia, że wszelką winę karać należy wystrzeloną przez nieznanych sprawców kulą w łeb. Iluż ludzi poczuło się upoważnionymi, lub powołanymi do zaspakajania również i poza oficjalnymi sądami podziemnymi owego „wrodzonego łaknienia sprawiedliwości", swojego własnego i innych! Ileż samosądów, ile vendett, ile porachunków dokonywano w kraju całkiem na marginesie działalności sądów podziemnych, — trochę na ich rachunek, a trochę poprostu na rachunek zbiorowego „łaknienia sprawiedliwości" społeczeństwa! I ileż to za sobą pociągnęło zdziczenia!

Pani Kossak zaprzecza, by trup zastrzelonego „szpicla" mógł leżeć kilka dni na ulicy. Otóż wszelkie generalizacje są niebezpieczne. Mogę udowodnić przy pomocy świadków, że trup pewnego „szpicla", bardzo drobnej zresztą płotki ,leżał na jednym z przedmieść Warszawy przy przystanku tramwaju kilka dni. Nawet własna żona bała się go sprzątnąć i pochować. A przechodnie na te zwłoki pluli. Czy to nie zdziczenie, podobne do tego, które stało się udziałem zwłok Mussoliniego? Czy można, będąc katolikiem, myśleć o tym bez protestu? Czy takie fakty nie są najlepszym posiewem pod rodzenie się mentalności bolszewickiej? I czy ustanowienie w Polsce systemu wydawania zaocznych wyroków śmierci nie jest tu pra-przyczyną i źródłem?

Znane mi są dzieje kilku młodych ludzi, którzy — nie z własnej ochoty, lecz na rozkaz, — wykonywali zaoczne wyroki śmierci. Są to ludzie wykolejeni. Wykonana, krwawa robota wycisnęła niezatarte piętno zarówno na ich systemie nerwowym, jak na ich obliczu moralnym. Ludziom tym zrobiono straszną krzywdę. A przez nich — zrobiono ją społeczeństwu.

A wreszcie — sprawa nadużyć. Nadużycia towarzyszą każdej działalności ludzkiej, są bowiem nieuniknioną konsekwencją ułomności ludzkiej natury. Ale chodzi o to — ile jest nadużyć, i jakie. Gdy nadużyć jest zbyt dużo i są zbyt wielkie, świadczy to, że z samą istotą danej dziedziny życia coś jest nie w porządku.

Pani Kossak pisze, że „las partyzancki przekształcił się w las bandycki". Nasuwa mi się przy tej sposobności jedno spostrzeżenie.

W roku 1864 ponieśliśmy straszliwą klęskę. Ale las partyzancki nie przekształcił się wówczas w las bandycki. Powstanie styczniowe było nie tylko piękne w swym przebiegu, ale także piękne, pełne godności i wzniosłe w swej fazie likwidacyjnej. Natomiast w roku 1905 las partyzancki niemal odrazu przekształcił się w las bandycki. Skąd te różnice? Wydaje mi się, że stąd głównie, iż końcową fazą powstania styczniowego kierował rycerz bez skazy, znakomity żołnierz i głęboki katolik, Romuald Traugutt. A akcją 1905 roku kierowali ludzie, wychowani na materialistycznej doktrynie Marksa, którym trauguttowego pionu moralnego i tradycyjnie żołnierskiego brakło. Obawiam się, że w polskim państwie podziemnym z czasów okupacji, na wysokich szczeblach, zbyt żywe były tradycje akcji bojowej 1905 roku i to się na obliczu tego ruchu odbiło. Powtarzam: mówię wciąż o szczytach hierarchii.

Pani Kossak w jednym punkcie przyznała mi rację: w sprawie ampułek samobójczych z cjankiem potasu. A jednak i o tej sprawie pisze dziwnie lekko, jakby to była sprawa drugorzędna, bez większego znaczenia. Czy to naprawdę była sprawa drugorzędna? Przecież tu nie chodzi o słabość jednostek, które wolały samobójstwo od cierpień i niebezpieczeństwa „wsypy". Tu chodzi o zarządzenia z góry. Czy sam fakt, że takie zarządzenia wydano i że negatywny do tych zarządzeń stosunek katolickiego społeczeństwa, o którym p. Kossak pisze, nie zdołał nic tutaj zmienić, nie jest faktem. rzucającym na podziemną rzeczywistość przejmujące światło? Polskie władze państwowe nakazywały polskiej młodzieży, — chłopcom i dziewczętom, — popełniać w pewnych sytuacjach samobójstwo. Gdybym nic więcej o władzach A.K. nie wiedział — ten jeden fakt wystarczyłby mi do nabrania przekonania, że coś tam w tych władzach było z moralnego punktu widzenia grubo nie w porządku. Pion moralny jest jeden: albo się pewien światopogląd ma, albo się go nie ma. Owe ampułki z trucizną świadczą, że kierownictwo ruchu podziemnego w katolickiej Polsce było w ręku ludzi, którym katolicki pion moralny był obcy.

Czy należy o tym wszystkim pisać? Pisać dziś? Czy też raczej lepiej to — jak podsuwa p. Kossak — odłożyć na później?

Niestety, trzeba pisać dziś. Groźne dzieje narodu polskiego pod obcą okupacją nie są jeszcze, niestety, przeszłością. Nie wypłynęliśmy jeszcze na ciche i czyste wody bezpiecznego historycznego okresu. Grozi nam jeszcze wiele wstrząśnień i burz; mamy w czasie burz tych wiele do stracenia. Obyśmy wyszli z nich nie tylko z możliwie najmniejszymi stratami fizycznymi, ale i z nienaruszonym pionem moralnym, z niezamąconą duszą katolickiego, europejskiego, cywilizowanego narodu! W czasie burz tych zachowywać się musimy z wielką przezornością i poczuciem odpowiedzialności. Lekkomyślnych błędów popełniać nam nie wolno. Zwłaszcza. że w burzliwych czasach z drobnego ziarnka gorczycznego niedostrzegalnych pomyłek drzewo wielkich win wyrasta bardzo szybko.

A szczególna odpowiedzialność spoczywa na tych, co losami narodu kierują. Nie mogą się oni w ocenie polskiej rzeczywistości powodować samym tylko uczuciem. Muszą na wszystko patrzeć wymagającymi i czujnymi oczyma rozumu, — muszą widzieć pośliźgnięcia i błędy i z błędnych ścieżek pochód narodu nawracać. Choćby to było niepopularne. I choćby nie było przyjemne.

A do tych, co narodem kierują, należą także i pisarze. Zwłaszcza w narodzie, tak przyzwyczajonym jak nasz, do dawania swoim poetom i powieściopisarzom wielkiego posłuchu. I zwłaszcza pisarze tak sławni i cieszący się takim autorytetem, jak p. Kossak.

Jędrzej Giertych

Z POLSKI

„REALIZM SOCJALISTYCZNY" W PLASTYCE

Dnia 20 marca b.r. została otwarta pod tą nazwą w Warszawie w salach Muzeum Narodowego wystawa malarstwa, rzeźby i grafiki, zorganizowana z ramienia Związku Polskich Artystów Plastyków i Min. Kultury i Sztuki przez Centralne Biuro Wystaw Artystycznych.

Wystawa zorganizowana pod hasłem realizmu socjalistycznego była od dłuższego czasu zapowiadana przez prasę jako wielkie, wprost przełomowe wydarzenie w historii polskiej plastyki. Celem jej miało stać się: „przełożenie nowych, wielkich idei socjalizmu, przenikających dziś świat, na język twórczych, artystycznych wyobrażeń", jak to określił Włodzimierz Sokorski, wice-minister Kultury i Sztuki na konferencji dyskusyjnej w Muzeum Narodowym.

Jeszcze przed otwarciem wystawy ogłoszono w prasie szereg wywiadów z artystami o znanych szeroko nazwiskach. Nie próbowano nawet bardzo ukrywać, że autorytet wielkich nazwisk miał dodać ciężaru gatunkowego nowemu kierunkowi w sztuce i jego manifestacji, jaką miała się stać zapowiadana wystawa.

„Każda epoka rewolucyjna, która powstaje, tworzyć musi obrazy swej współczesności, które zostają w historii" — powiedział prof. Wojciech Weiss. „A w historii pozostaje to tylko, co cenne, co piękne, co prawdziwe. I znowu wraca problem natury, harmonii, prawdy życia — problem realizmu w sztuce. Realizm dzisiejszy — to realizm socjalizmu. — Nie znaczy to jednak, by malować tylko fabryki i robotników, jak to chcą nadgorliwcy. Malować trzeba to, co się zna, co się kocha, co się odczuwa. Realizm socjalistyczny nie ogranicza tematyki. Wszystko co jest dobrze namalowane, wszystko, co dobrze oddaje życie — to jest realizm naszej epoki, epoki socjalizmu".

Prof. Władysław Jarocki, z krakowskiego towarzystwa „Sztuka" na zapytanie, jak się zapatruje na: „tak aktualne dziś hasło realizmu socjalistycznego w sztuce" odpowiedział:

„Bardzo po prostu: uważam, że malarz musi się opierać na tym, co widzi, a więc być realistą. Każde dzieło sztuki musi mieć cechy indywidualne artysty przy równoczesnym wydobyciu charakterystycznych cech narodowych. Musi też być związane z nurtem życia bieżącego, musi być zrozumiałe dla mas. Artysta, zachowując całą swą osobowość, nie może jednak tworzyć tylko dla siebie, ani też dla garstki wybranych, czy w imię hasła „sztuka dla sztuki", lecz dla ogółu społeczeństwa. To jego obowiązek. Zresztą artyści ze „Sztuki" (krakowskie towarzystwo malarskie — przyp. nasz) byli zawsze bliscy tych dzisiejszych założeń".

„Chciałabym zadać panu jeszcze jedno ostatnie pytanie — powiedziała dziennikarka, przeprowadzająca wywiad z prof. Zbigniewem Pronaszką — jaki jest pański stosunek do zagadnienia realizmu socjalistycznego?

— Oczywiście pozytywny. Otóż ten realizm, to według mnie, metoda badawcza zjawisk otaczającego nas życia i ich korelacja ze sprawami sztuki — nie jest on więc ani kierunkiem artystycznym ani żadną szkołą. Jest to postawa badawcza w punkcie wyjściowym. Ale jestem głęboko przekonany, że nasza epoka, która przyniosła tak wielkie przemiany i już dziś zapisała się tak wielkimi osiągnięciami zarówno społecznymi, jak i politycznymi, która okazała taką dynamikę humanizmu w walce o pokój i sprawiedliwość społeczną, nie pozostanie w tyle i w sprawach sztuki. Musi więc powstać wielka sztuka godna wielkiej epoki zwycięskiego socjalizmu".

Wreszcie bardzo lapidarnie określił swój stosunek do nowej sztuki Wlastimil Hofman, który niedawno obchodził 45-lecie swojej pracy artystycznej.

„Pisarz Koprowski nazwał mnie „sędziwym artystą", ja jednak nie czuję się starym. Chcę tworzyć taką sztukę, jaka jest potrzebna masom „Polski Ludowej". Na wystawę tematyczną w Warszawie wysłałem dwie prace: „Prządkę" i „Robotnika". Praca jest głównym tematem mych nowych dzieł".

Nawiasem dodamy, że żadna z tych prac nie została ani nagrodzona, ani wyróżniona, nie wiemy czy zostały one wogóle przyjęte.

Na wystawę nadesłano ogółem 2740 prac: 1840 obrazów, 310 rzeźb i 590 grafik. Jury wystawy dokonało bardzo ścisłej selekcji nadesłanych prac zarówno pod kątem tematyki (związanie z ustrojową przebudową państwa) jak i ze względu na formę (dążenie w kierunku realizmu). Ostatecznie przyjęto i zakwalifikowano do wystawienia 633 prace: 319 — z dziedziny malarstwa, 121 — z dziedziny rzeźby i 121 — z dziedziny grafiki. Ponadto wystawiono 22 prace, nadesłane przez artystów polskich, zamieszkałych stale w Paryżu i szereg projektów plakatu wystawowego.

Dnia 3 kwietnia odbyło się w Min. Kultury i Sztuki posiedzenie komisji nagród pod przewodnictwem Wł. Sokorskiego, wicemin. Kultury i Sztuki. W komisji oprócz osób reprezentujących tzw. czynnik społeczny, związki zawodowe, Samopomoc Chłopską, Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą (tak się nazywa w Polsce partia komunistyczna) itp. znalazło się parę osób o nazwiskach znanych przed wojną, jak malarze: Michał Bylina i Antoni Łyżwiański, rzeźbiarz Marian Wnuk i historyk sztuki dr Juliusz Starzyński.

Pierwszą nagrodę w dziale malarstwa otrzymał prof. Wojciech Weiss z Krakowa za obraz olejny pt. „Manifest", w dziale rzeźby — Alfred Wiśniewski z Poznania za rzeźbę w gipsie pt. „Granica pokoju" i w dziale grafiki — znany już przed wojną grafik, Wacław Waśkowski z Warszawy za cykl ilustracji (drzeworyty) do „Dubrowskiego" Aleksandra Puszkina.

Wśród autorów nagrodzonych i wyróżnionych prac spotykamy nazwiska artystów, znanych sprzed wojny jak np. w dziedzinie malarstwa: Juliusz Krajewski (Warszawa — obraz olejny „Przodownica"), Stanisław Czajkowski (Warszawa — obraz olejny „Praca przy odbudowie kolumny Zygmunta"), Marian Klaklik (Zakopane — obraz olejny „Majster i uczeń"), Aleksander Rafałowski (Warszawa — obraz olejny „Trójka ceglarska"); w dziedzinie rzeźby: Alfons Karny (Warszawa — nagrodzony za głowę w bronzie „Gen. Świerczewski"), Marian Wnuk (Warszawa — rzeźba w gipsie „Fragment pomnika przyjaźni Polsko - Radzieckiej"), Stanisław Horno-Popławski (Sopot — rzeźba w granicie „Głowa marynarza"), Franciszek Strynkiewicz (Warszawa — rzeźba w bronzie „Portret Osi"); w dziedzinie grafiki: Konstanty Sopoćko (Warszawa — drzeworyty „Teka partyzanta"), Józef Tom (Warszawa — rysunki „Fragment kopalni węgla") i Aleksander Rak (Katowice — rysunek „Lenin w rozmowie z góralami").

Dla ilustracji, jak się w praktyce przedstawiały kryteria „tematyczne" podamy szereg tytułów nagrodzonych i wyróżnionych prac: Helena Stachórska — „Do szkoły po wiedzę" (rzeźba w gipsie), Wacław Dobrowolski — „Walka z analfabetyzmem" (obraz olejny), Eugeniusz Eibisch — „Z.M.P." (obraz olejny, mający przedstawiać symbolicznie oczywiście — komunistyczny Związek Młodzieży Polskiej. Przyjęty przez niektórych krytyków z dużymi zastrzeżeniami), Helena Krajewska — „Brygada młodzieżowa na szybkościowcu" (obraz olejny), Stanisław Michałowski — „Zwózka buraków" (obraz olejny), Włodzimierz Zakrzewski — „Tow. Bierut wśród robotników" (obraz olejny), Stefan Żechowski — „Waryński w Szliselburgu" (obraz olejny). Juliusz Mieszkowski — „Marks" (rzeźba w papier maché), Beniamin Pacanowski — „Ludwik Waryński" (metaloplastyka), Roman Tarkowski — „Czerwony sztandar" (gips), Adam Smolan — „Ładowacz" (gips), Ignacy Witz — „Wielki proletariat" (rysunek), zbiorowa praca pod tytułem „Pochód manifestacyjny pokoju" (obraz olejny, autorzy: Jaeschke, Łubniewicz, Pisarew i Sikorski) i t.d.

W czasie wystawy odbył się wielki zjazd dyskusyjny z udziałem poza plastykami również pisarzy i publicystów, poświęcony przedyskutowaniu głównych zagadnień plastyki polskiej w oparciu o materiał wystawowy, a Związek Polskich Plastyków zorganizował ankietę dla zwiedzających. Każdy ze zwiedzających miał wypełnić odpowiedni arkusz ankietowy, materiały zaś w ten sposób zebrane miały pozwolić organizatorom na zorientowanie się w ogólnym poziomie wiedzy społeczeństwa o plastyce.

Na zorganizowaną z okazji wystawy konferencję plastyków przybyła specjalna delegacja z Rosji Sowieckiej w składzie: Aleksander Zamoszkin, dyr. Galerii Tretiakowskiej w Moskwie, Aleksander Gierasimow, prezydent Akademii Sztuk Pięknych w Z.S.S.R. i Aleksander Kisielew, sekretarz delegacji, oraz delegacja chińska, oczywiście komunistyczna, w składzie: Hung-Czang-Wu i Liou-Kai-Tsche, bardzo honorowana podczas uroczystości wystawowych.

Pierwszego dnia wspomnianej już wielkiej konferencji dyskusyjnej została przyjęta przez plastyków rezolucja o przyłączeniu się polskich artystów do t. zw. stokholmskiej akcji na rzecz pokoju, która jest prowadzona obecnie na olbrzymią skalę w Polsce m. in. w postaci uchwalania przy wszelkich okazjach odpowiednich rezolucji oraz podpisywania list, na których mają znaleźć się podpisy chyba wszystkich mieszkańców Polski.

Jeśli chodzi o efekt artystyczny wystawy, wypadł on raczej słabo. Wspomniany już przez nas Sokorski, dzisiejszy komunistyczny „führer" do spraw artystycznych w Polsce, dał temu wyraz w przemówieniu na konferencji dyskusyjnej w Muzeum Narodowym.

Podkreślając, że wystawa jest poważnym wydarzeniem w historii polskiej sztuki i że sprecyzowała słuszny kierunek uderzenia i słuszny kierunek poszukiwań zarówno ideowych, jak i artystycznych dla polskiej plastyki walczącej o socjalizm powiedział w zakończeniu.

„Wystawa obrazuje jednak tylko wysiłki określonego etapu. Etapu ogromnego rozszerzenia zainteresowań tematyczno-pojęciowych i stopniowego przezwyciężania dotychczasowych skostnień typu formalistycznego. Musiało to dać w efekcie tak ostro zarysowane na wystawie przeciwieństwo nowych treści i starej formy. Proces łamania starej formy i wynikające stąd wszystkie niekonsekwencje ideowo-formalne, jest może najbardziej charakterystycznym zjawiskiem dla obecnej wystawy i to zjawisko nie mogło pozostać bez wpływu na jej jakość i na jej poziom ideowo-artystyczny. Jest to jednak przeciwieństwo o charakterze twórczym. Jest to obraz łamania starego na rzecz nowego. A Stalin uczy nas widzieć nowe nawet wówczas, gdy jest jeszcze słabe, lecz zawiera dynamikę idącego naprzód pokolenia.

Wystawa obrazuje w ten sposób trudny, niejednokrotnie bolesny, lecz w gruncie rzeczy twórczy proces powstawania nowego, proces rodzenia się sztuki socjalistycznej".

Łatwo było by wyśmiać i tematykę i poziom artystyczny wystawy, ale jeśli się zważy, że jest ona dalszym, dużym krokiem naprzód w walce komunizmu o duszę polską i że w praktyce wskazuje to na szybką likwidację niezależnej twórczości artystycznej — tym razem w dziedzinie plastyki — nasuwają się nam bardzo smutne refleksje i niepokojące zapytania.

Czy w tych warunkach emigracja, która wybrała wolność, umie ją wykorzystać w dziedzinie wolnej twórczości? Czy, przesadna nieraz, troska o sprawy materialne (co nie zawsze jest równoznaczne z naprawdę ciężką walką o byt) i jałowe spory polityczne, których sens staje się coraz bardziej „wiedzą" hermetyczną, dostępną już coraz mniejszej ilości wtajemniczonych, nie zasłaniają istotnych zadań, jakie mają do spełnienia Polacy, chcący się nazywać wolnymi?

NOWE FILMY

„MRS. MIKE"

PEDAGOGICZNIE poprawny film z dobrymi intencjami: humanitarny, mający w zamierzeniu uczyć miłości bliźniego i solidnego spełniania obowiązków. Historia młodego policjanta konnego w Kanadzie, który na odległą stację policyjną zabiera swą młodą żonę. Jest tam lekarzem i dentystą, pielęgniarzem chorych, opiekunem całej miejscowej ludności, odciętej od cywilizacji, zagubionej w północnych śniegach. Pani Mike (Evelyn Keyes) wystawiona jest na ciężkie próby. Przyzwyczajona do miejskich wygód rodzi dziecko bez opieki lekarskiej, później traci je z powodu niemożności szybkiego uzyskania szczepionki przeciwdyfterytowej. Załamuje się, a potem wraca do formy i do męża sierżanta (Dick Powell).

Pod względem artystycznym film absolutnie bezwartościowy, prymitywny reportaż, przeładowany szczegółami, odbiegający od realiów życia, miejscami prawie egzotyczny w swych nieprawdopodobieństwach. Sentymentalny, aż do nudnej ckliwości. Klasyczny przykład dziwnego zjawiska: jak najpraktyczniejszy naród (amerykański) nie potrafi nauczyć się realizmu w sztuce. (sp)

„NA WYSTAWIE PARYSKIEJ"
(„So Long at the Fair")

Firma angielska Gainsborough wyprodukowała jeszcze jeden film rozrywkowy, sięgający tym razem do tematyki, a raczej do tła i nastroju kontynentalnego. Za podstawę filmu przyjęto utwór mało znanego autora Anthony Thorne — „thriller", osnuty na tle pierwszej wystawy paryskiej z 1889 roku.

Młody Anglik John Barton (David Tomlison) przybywa na wystawę ze swą młodą i piękną siostrą (Jean Simons). Pierwszy wieczór w Paryżu spędzają wesoło, choć Barton nie czuje się zupełnie dobrze. Późną nocą udają się na spoczynek do swych pokojów hotelowych — ona do n-ru 17, on do 19. Jakież jest zdziwienie młodej panny, gdy następnego dnia rano nie zastaje swego brata w hotelu, a służba i właściciel wmawiają w nią, że przyjechała do Paryża sama. Ba, okazuje się, że pokój Nr 19 zniknął także, nigdy nie był pokojem mieszkalnym, lecz... łazienką. Młoda kobieta jest przerażona, zwłaszcza, że pieniądze na pobyt w Paryżu przepadły wraz z bratem. Usiłuje interweniować u konsula brytyjskiego i w policji — na próżno: wszyscy traktują ją pobłażliwie i dają do zrozumienia, że jest chora. Właściciel hotelu wyprawia ją na dworzec, namówiwszy do wyjazdu do Anglii. W ostatniej chwili biedna Wiktoria znajduje sprzymierzeńca w młodym malarzu angielskim (Dirk Bogarte), który widział ją z bratem pierwszego wieczoru pobytu w Paryżu, a nawet pożyczył pieniądze od rzekomo nieobecnego brata. Przy pomocy malarza udaje się jej wyjaśnić tajemnicę zniknięcia Johna i wszystko kończy się dość szczęśliwie. A jak? — Nie mogę zdradzić, aby nie psuć smaku tym, co na film się wybiorą.

Reżyseria (T. Fisher i A. Darnborough) uczyniła wszystko, aby oddać w filmie Paryż i nastrój paryski. Udało się to mniej więcej: raczej mniej niż więcej. Bo Paryż to nie tylko Moulin Rouge i tańczące kankana baletnice. Wydaje się jednak, że przeciętny Anglik, wynudzony na swej zorganizowanej wyspie, widzi w Paryżu tylko miejsce rozrywek, przeważnie tych grubszych.

Film w swojej klasie jest całkiem znośny: zrobiony intrygująco, dostarcza swoje pół funta dreszczu, poszukiwanego przez robotów chodzących do kina. Z tego punktu widzenia jest dość godziwą rozrywką, znacznie kulturalniejszą od amerykańskich filmów gangsterskich czy kowbojskich. Miłośnikom filmu artystycznego nie radzę go jednak oglądać, chyba, że chcą zobaczyć wcale dobrą grę sympatycznej aktorki panny Simmons.

Przy okazji „So Long at the Fair" nasuwa się refleksja: czy za te same pieniądze i przy użyciu tych samych aktorów nie można by stworzyć dzieła naprawdę wartościowego„ „Third Man" jest także dreszczowcem, ale zawiera w sobie problem ludzki, ciekawy, wzbogacający widza, zmuszający go do myślenia. „So Long at the Fair" nie zawiera żadnego głębszego sensu, choć bardzo łatwo można była pchnąć go na jakiś istotny nurt spraw ciekawych i ważnych. (sp)

KRONIKA FILMOWA

W WALCE O SZKOŁY KATOLICKIE W ANGLII

Angielska Akcja Katolicka przystąpiła do nakręcenia filmu o problemie szkolnictwa religijnego w W. Brytanii. Film będzie podkreślał rolę rodziców w wychowaniu młodzieży i ich prawo do wychowywania dzieci w duchu religijnym. Jest to fragment wielkiej akcji katolików brytyjskich o szkoły religijne, których utrzymania państwo odmawia.

POWIEŚĆ J. CONRADA NA FILM

Jeden z najwybitniejszych reżyserów brytyjskich Carol Reed, znany ze współpracy filmowej z G. Greene'em („Fallen Idol", „Third Man") wyjechał na wyspy Malajskie w poszukiwaniu najodpowiedniejszego tła do sfilmowania powieści Josepha Conrada „Wykolejeniec" („An Outcast of the Islands"). Carol Reed zwiedzi Jawę i Sumatrę oraz mniejsze wyspy i będzie się starał znaleźć również dziewczynę malajską, która mogłaby grać rolę Aissy. W rachubę wchodzą także poszukiwania miejscowego muzyka operującego nieznanymi w innych częściach świata instrumentami malajskimi.

NA MARGINESIE

SŁOWNIK JAPOŃSKI

Członek japońskiego parlamentu p. Yuko Ozaki oblał zimną wodą amerykańskiego polityka odwiedzającego Japonię, gdy mu w rozmowie powiedział: „moi rodacy mają wielką trudność w zrozumieniu, co znaczy „demokracja". bo język japoński tego słowa nie posiada".

Całe zagadnienie przyszłej Japonii zależy od tego, które z dwóch słów „demokracja" czy „komunizm" najpierw wzbogaci słownik japoński.

STACYJKI

Z ust Kardynała Griffina padło poważne ostrzeżenie. Przemawiał on niedawno w Twickenham. „Twierdzą, powiedział, że z górą 2000 nauczycieli w państwowych szkołach są komunistami..."

Związek Sowiecki zagłusza anty-komunistyczną propagandę BBC, a w tym samym czasie 2000 nauczycielskich stacyjek propagandy komunistycznej robi swoje na terenie W. Brytanii. Programy poświęcone są głównie walce z religią !

PUPIL CANARISA

Pierwszym niemieckim urzędnikiem służby zagranicznej będzie dr Hans Riesser, mianowany na stanowisko Generalnego Konsula w Stanach Zjednoczonych. Rząd w Bonn pragnął, by Konsul miał swą siedzibę w Waszyngtonie. Mógł by się stać wtedy wice-poselstwem. Departament Stanu uparł się przy Nowym Yorku.

Zainteresowaliśmy się przeszłością dra Riessera. Ma on lat 63. W pierwszej wojnie był oficerem łodzi podwodnej, w okresie Wejmarskiej Republiki sekretarzem Niemieckiej Ambasady w Paryżu, a w czasie drugiej wojny pracował w wojskowym wywiadzie pod rozkazami Admirała Canarisa. Nie można się dziwić, że nowy Konsul Generalny wolałby Waszyngton od Nowego Yorku, jako punkt obserwacyjny.

TRZY KOTY

W mieście Providence stolicy stanu Rhode Island właściciel pięknego domu o 16 pokojach zapisał w testamencie swój dom trzem... kotom, które od roku zgodnie z wolą nieboszczyka w nim same zamieszkują. Z zapisanych na utrzymanie kotów funduszy opłacaną była kobieta otrzymująca £ 3—10 tygodniowo za to, że koty codziennie odwiedzała i karmiła. Wskutek wytoczonego przez sukcesorów procesu sąd nakazał eksmisję kotów, ale z tym, że pielęgnująca koty kobieta otrzyma jednorazowo £ 1.400 za ulokowanie kotów we własnym mieszkaniu i karmienie ich póki, żyć będą.

Temat doskonały dla sowieckiej propagandy. Ilustruje on mentalność obywateli przodujących państw kapitalistycznych na świecie, których gospodarka doprowadziła do tego, że połowa ludności świata nie dojada.

TEŻ HISTORYK

Wyszła z druku książka p. A.J.P. Taylora pod tytułem: „Od Napoleona do Stalina". Historyk angielski oświadcza w niej, „że teologia i klasycy stanowią dwie nauki najmniej ludziom potrzebne". O Bismarku krótko, węzłowato, ale płyciutko: „bał się on nacjonalizmu i socjalizmu. Częściowo opierając się im, a częściowo zawierając z nimi kompromisy, opóźnił ich zwycięstwo, ale sprawił, że było ono nie do uniknięcia". Pan Churchill myśli, że jest dobrym Europejczykiem. Nie ma już takich. Z osobą Lavala, twierdzi Taylor ród ich wygasł.

Pan Schuman może się zmartwić, gdy się dowie z tej książki. że pokój w Europie wcale nie zależy od trwałego pojednania między Niemcami i Francją, które jest zresztą „niemożliwe". Może dlatego W. Brytania odwraca się od planu Schumana, że według p. Taylora pokój zależy od trwałej współpracy pomiędzy Anglią i Rosją. Wiara Anglo-sasów w możliwość współpracy z Rosją pozwoliła tymczasem Stalinowi zapanować od Szczecina do granicy... Hong-Konga! Dla trwałej „współpracy" punkt wyjściowy doskonały

LISTY DO REDAKCJI

W SPRAWIE ODCZYTU O KSIĄŻCE DVORNIKA

Szanowny Panie Redaktorze!

Już po wysłaniu mojego poprzedniego listu — w innej sprawie — do ŻYCIA przeczytałem w nim — w N-rze 20-stym — notatkę o moim odczycie w Klubie Towarzyskim YMCA w Londynie na temat książki ks. profesora F. Dvornika **„The Making of Central & Eastern Europe"** wydanej przez **„The Polish Research Centre"**. Jest to notatka tak jednolicie krytyczna, a krytyka zawarta w niej do tego stopnia niepoparta żadnymi argumentami, iż zmuszony jestem doszukiwać się u jej autora motywów nie mających żadnego związku z rzeczową stroną zagadnienia.

Autor notatki zaczyna od krytyki Klubu YMCA za nadanie odczytowi tytułu „U kolebki dziejów Polski", twierdząc, że jest to tytuł „bardzo szumny" i że „wprowadza w błąd". Dlaczego? Czy książka, która mówi między innymi o irańskim pochodzeniu Chorwatów władających niegdyś w Krakowie oraz o tym jak to chorwackie dziedzictwo polityczne wśród południowych polskich szczepów przejął był od Czechów Mieszko Pierwszy — nie traktuje o samych początkach państwa już nie polańskiego ale polskiego? A jeżeli się nawet ten tytuł autorowi notatki nie podoba, to czy nie byłoby właściwe uzasadnić to w notatce? Cóż są warte w krytyce publicystycznej zarzuty gołosłowne?

Powtóre autor krytykuje Klub YMCA za to. że powierzył wygłoszenie odczytu o książce ks. prof. Dvornika nie-historykowi, a mnie osobiście za to, że zaznaczyłem w odczycie, że nie jestem historykiem. W krytyce tej zawarta jest dyskwalifikacja mnie jako osoby mogącej wygłaszać popularne odczyty przed audytorium, które chce mieć rzeczową informację o publikacjach interesujących szerszy ogół. Doprawdy, czuję się zaambarasowany. Trudno mi przecież przyjąć, że autor notatki nie wie, że jestem publicystą i że wedle przyjętych zwyczajów oraz podstawowej w Europie zasady o **libertas philosophandi** wolno mi pisać i mówić o publikacjach z różnych dziedzin wiedzy. W Europie nie są wymagane żadne formalne tytuły do przemawiania na dany temat, a przecież ja osobiście mam tytuł naukowy — ten najniższy — i nawet miałem sposobność zapoznać się z naukową metodą traktowania zagadnień pod właściwym kierownictwem w czasie mojej krótkiej naukowej funkcji uniwersyteckiej. Wolno mnie naturalnie krytykować za to co mówiłem, ale nie jest przyjęte w naszym świecie pojęć atakować prelegenta za to, że wogóle przemawiał.

Dodam także, że Klub YMCA nie jest Akademią Umiejętności i nie stawia prelegentom wymagań takich, jakie są obowiązujące w tamtej najwyższej naszej naukowej instytucji. Obawiam się. że gdyby tak było, to i autor notatki nie miałby tytułu do pisania swojej recenzji. A wreszcie autor recenzji powinien chyba wiedzieć, że historycy nie piszą książek bynajmniej wyłącznie jedni dla drugich. Moje kontakty z historykami. wśród których liczyłem i osobistych przyjaciół, nauczyły mnie, że oni cenią sobie wielce trud publicystów, którzy ich osiągnięcia naukowe popularyzują w piśmie czy mowie.

Jeśli zaś idzie specjalnie o książkę ks. prof. Dvornika, to zawiera ona nie tylko sprawozdanie z dawnych zdarzeń historycznych, **ale i posłanie do współczesności**. Czcigodny autor powiada w przedmowie: „Pomimo braków tej książki ufam, że może ona okazać się pomocną, wszystkim szukającym wspólnego gruntu dla różnych narodów Europy Środkowej. na którym mogłyby one się spotkać i zapomnieć dawnych zwad przynoszących im tak często niewolę".

O książce tej pisali już w ŻYCIU historyk dr Jasnowski i publicysta polityczny dr Piszczkowski. Sądzę, że pisać o niej trzeba jeszcze więcej i że właśnie sprawa posłania, zawartego w niej, a skierowanego do nas, do obecnego pokolenia Polaków — a także Czechów i Słowaków oraz wszystkich, którym sprawa właściwego uporządkowania naszego rejonu Europy leży na sercu — nie została jeszcze w publicystyce dostatecznie jasno przedstawiona. Częściowo starałem się to uczynić w swoim odczycie w Klubie YMCA.

A wreszcie rzeczy drobniejsze. Autor notatki dziwi się, że — jak twierdzi — powiedziałem w odczycie, że sprawa obrządku słowiańskiego świętych Cyryla i Metodego była dla mnie „rewelacją". Najprawdopodobniej nie zrozumiał moich słów. Obrządek słowiański w dzisiejszej jego postaci — wschodniej, czerpiącej z tekstów bizantyńskich, wykształconej w Bułgarii i na Rusi — znam bezpośrednio jako uczestnik nabożeństw w tym obrządku w czasach mojej wczesnej młodości, kiedy jako uczeń regularnie chodziłem na msze św. do cerkwi unickiej. A więc nie sam obrządek słowiański mógł okazać się rewelacją dla mnie po przeczytaniu książki prof. Dvornika, ale rewelacją tą był fakt — nie wstydzę nigdy przyznać, że czegoś nie wiem, lub nie wiedziałem — że obrządek słowiański w państwie wielkomorawskim i związanych z nim prowincjach kościelnych w Czechach, nad górną Wisłą, a również na południu w kościołach Panonii i Dalmacji był obrządkiem zachodnim a nie wschodnim, opartym na tekstach i formach rzymskich, a nie bizantyńskich Wydaje mi się, że autor nie odróżnia spraw alfabetu oraz języka używanego w liturgii słowiańskiej od samej liturgii **sensu stricto**.

Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego poważania

M. E. Rojek

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu

NOWE BADANIA NAD TELEPATIĄ

W czołowym brytyjskim tygodniku katolickim „The Tablet" ukazał się artykuł R. Haynesa pt. „Telepatia i święci".

Autor przypomina, że już w r. 1882 powstało w Anglii Towarzystwo Badań Psychicznych (Society for Psychical Research), które za cel postawiło sobie naukowe śledzenie zjawisk, traktowanych do tej pory w sposób mało poważny, głównie w związku z ówczesną modą „wirujących stolików". Przeprowadzono przede wszystkim, przy zastosowaniu wszelkich środków uniemożliwiających fałszerstwa, doświadczenia nad „przeniesieniem myśli" między jedną osobą a drugą. Osiągnięto w tym zakresie wyniki pozytywne, ówczesna jednak atmosfera umysłowa była taka, że owe doświadczenia mimo wszystko traktowane były sceptycznie.

Dopiero w latach trzydziestych naszego stulecia podjęte zostały nowe badania na większą skalę, tym razem przy zastosowaniu specjalnych metod „laboratoryjnych". Przeprowadzał je najpierw dr Rhine z Duke University w Północnej Karolinie. Chodziło o „zgadnięcie" kolejności pięciu kart, przy czym dokładnie obliczono, jakie są szanse odpowiedzi poprawnej. Wyniki były tak zdumiewające, że brytyjskie Towarzystwo Badań Psychicznych wyraziło początkowo wątpliwość co do ich rzetelności, tym bardziej, że podobne doświadczenia, przeprowadzone przez dra Soala, lektora matematyki na Uniwersytecie londyńskim, z jego studentami, nie dały rezultatów, wykraczających poza średnią normę szans. Później jednak dr Soal, raz jeszcze zbadawszy wyniki swych doświadczeń, zrobił zdumiewające odkrycie: okazało się, że jego słuchacze „zgadywali" nie kartę, na którą on patrzył, ale tę, na którą miał spojrzeć następnie. Wskazywałoby to na istnienie pewnej właściwości umysłu ludzkiego, pozwalającej na postrzeganie nie tylko rzeczy przeszłych i teraźniejszych, ale i pewnych wydarzeń przyszłych. Byłoby to w zgodzie z twierdzeniami książki J. W. Dunne'a „Experiment with Time", która nabrała takiego rozgłosu na kilka lat przed tym.

Dalsze doświadczenia dotyczyły zdolności pewnych osób do wprowadzania w ruch przedmiotów bez użycia środków fizycznych.

Właściwości tego typu: telepatia, jasnowidzenie, czytanie przyszłości, wpływanie na ruch przedmiotów drogą nie - fizyczną — określone zostały przez badaczy tych zjawisk słowem „psi".

W tym miejscu wtrącić należy, że zjawiska tego typu badane były pod koniec ub. stulecia i na początku XX w. przez uczonego polskiego, dra Ochorowicza, który współpracował z prof. Richet, kierownikiem paryskiego T-wa Badań Metapsychicznych. W ogłoszonych przez siebie pracach Ochorowicz wysunął hipotezę, że zjawiska takie, jak telepatia, poruszanie przedmiotów na odległość td., spowodowane są przez pewne promienie, emanujące z ludzkiego mózgu i systemu nerwowego. Ochorowicz wysunął w związku z tym hipotezę „ideoplastii", wedle której kształty, pomyślane przez medium, mogą się ucieleśniać przez oddzielanie ich drobin od ciała medium i układanie się ich w pomyślane formy. Tym tłumaczył „zjawy", ukazujące sę na scenach, których obecność stwierdzona została jakoby przez zdjęcia fotograficzne. Natomiast nie mieściło się w hipotezach Ochorowicza przewidywanie wydarzeń przyszłych.

W każdym razie pogląd autora artykułu w „Tablecie", że zjawiska ‚psi', jeśli znajomość ich się rozszerzy, mogą przełamać „wiele intelektualnych barier na drodze do przyjęcia wiary", wydaje się zbyt optymistyczny. Jak dotąd nie ma żadnej pewności, że zjawiska te nie dadzą się wyjaśnić pewnymi niedostatecznie jeszcze zbadanymi, niezwykłymi właściwościami ludzkiego mózgu i ustroju nerwowego, jak to usiłował uczynić Ochorowicz.

Słuszne natomiast są uwagi p. Haynesa na temat związku między tymi zjawiskami a świętością. Występują one niewątpliwie często u świętych, — nie trzeba jednak równocześnie zapominać, podkreśla Haynes, o niezwykłych właściwościach, jakie posiadał np. taki Rasputin.

To też stanowisko Kościoła w takich wypadkach musi być równie ostrożne, jak przy ocenie cudów, zachodzących w Lourdes czy gdzieindziej, gdzie lekarze katoliccy czynią staranne rozróżnienie między uleczeniami spowodowanymi przez autosugestię, natchniętą przez Łaskę Bożą, a wypadkami, w których zachodzi bezpośrednia interwencja sił nadprzyrodzonych.

Książka Giertycha

CZY FIGURUJESZ JUŻ NA LIŚCIE.

Jak nam donosi p. Jędrzej Giertych, do soboty dn. 3 czerwca br. włącznie wpłynęło na powieść jego „W Polsce między wojnami" 435 przedpłat, z czego 314 z Wielkiej Brytanii, 38 ze Szwecji, 39 z innych krajów europejskich, 41 z Ameryki i 3 z innych części świata. Lista wszystkich prenumeratorów (z wyjątkiem tych, którzy oświadczają, że sobie tego nie życzą) wydrukowana będzie, na pamiątkę, na końcu książki.

Termin zgłaszania prenumeraty został w Wielkiej Brytanii przedłużony do 1 lipca br., a w innych krajach odpowiednio więcej. Prenumerata za całość (trzy tomy) wynosi 15 szylingów; po zamknięciu prenumeraty cena książki będzie podwojona.

Prenumeratę można wpłacać ratami; przed zamknięciem prenumeraty wystarczy wpłacić pierwszą ratę. Zgłoszenia i przekazy pieniężne w W. Brytanii przesyłać należy wprost pod adresem autora: J. Giertych, 16, Belmont Rd., London N. 15.

Adresy pozabrytyjskie podane są w tekście ulotki, którą w swoim czasie rozesłaliśmy naszym Czytelnikom. Ponadto podajemy jeszcze adresy dla przedpłaty z Belgii, Holandii i Niemiec, które brzmią: Belgia J. Barański, 261 Chaussee de Wavre, Louvain - Heverlee, Nr. konta poczt.:565503.
Holandia Administracja „Polaka w Holandii", Breda, Schorsmolenstr. 9.
Niemcy Cz. Tarnowski, (23) Quackenbrück, Gartenstr. 3 a.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

J. M. Beyzym: Uwagi Pana przesłaliśmy p. A. Steffenowi

Michał Sz. (26 Albert Rd., Manchester 19). Dziękujemy bardzo za list. Artykuł, mimo, że zawiera uwagi słuszne, nie nadaje się do druku.

J. Brzozowska (Londyn): Z artykułu nie skorzystamy.

K. Gołdowski (Birmingham 24): Dziękujemy bardzo; projekt litanii przesłaliśmy do oceny jednemu z Księży. Po otrzymaniu odpowiedzi napiszemy do Pana list.

P. Malkiewicz (Londyn): Jak zawsze — dziękujemy za zainteresowanie. Sprawa to zbyt drobna, aby nią zajmować tyle miejsca. Nie wydrukujemy.

T. Pliszka (Glasgow): Może nie jest tak źle, jak Pan osądza. W sprawie artykułu p. Giertycha otrzymaliśmy sporo listów, których autorzy piszą mniej więcej to, co Pan. W ten ton trafia artykuł Zofii Kossak w jubileuszowym n-rze ŻYCIA „Krzywdząca ocena".

S. Żochowski (Henley-on-Thames): List wydrukujemy.

N. Plucher (Londyn): List Pani przesłaliśmy p. Zofii Kossak.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: **Veritas Foundation Publication Centre.** Adres redakcji i Administracji: **Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W 2.** Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Co dziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt **tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł.** Administracja czynna **codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17 —** z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja **żadnych rękopisów nie zwraca.** W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. **Prenumerata** płatna jest z góry i wynosi: **miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty** przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi **„crossed"**. wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam £ 1; w **tekście** 50% drożej, na stronie **tytułowej** 100% drożej. **Prenumerata zagraniczna:** SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: **Mgr. Bożysław KUROWSKI.** Anggatan 6 c. Lund. Sverige. Sweden. **NIEMCY:** miesięcznie 2.50 DM. kwartalnie 7.00 DM. **ARGENTYNA:** kwartalnie 12 peso półrocznie 24 peso. Przedstawiciel: J. MIECZNIKOWSKI & T. DĄBROWSKI Składnica Książki Polskiej. Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires. SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: PKSU VERITAS, Section Suisse, Case Postale 19, Fribourg 2.

Printed by: **„Veritas Foundation Press" 12, Praed Mews, London W. 2.** Tel. PAD. 97..